AS



Nr. 23
CZERWCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

BIEDERMAJER

Byliśmy nad Łabą!...

(NA MARGINESIE AKTUALNEJ KSIĄŻKI)

✶

Młody poeta i publicysta literacki z Poznania — Józef Kisielewski — wydał przed dwoma laty powieść pt. „Powrót". Ten debiut beletrystyczny aż zadziwił powagą problematyki i dojrzałością pisarską autora. Spokojny, objektywny ton przejrzystej, logicznie skonstruowanej powieści świadczył o bezwzględnem poczuciu odpowiedzialności za słowo.

Te same wartości posiada nowa publikacja Kisielewskiego — „Ziemia gromadzi prochy", która miała być reportażem z podróży samochodowej po współczesnych Niemczech, a stała się odważną i doniosłą, mądrą i krzepiącą książką o sprawach Słowiańszczyzny. Książką pasjonującą treścią, przekonywującą zdecydowanie dzięki swemu objektywizmowi, książką szczególnie aktualną, gdy w znacznej mierze spełniły się wypadki, przewidziane przez autora przed kilku miesiącami.

Ziemia niemiecka gromadzi prochy Słowiańszczyzny — oto sens tytułu książki i bolesnej prawdy historycznej, o której książka Kisielewskiego mówi. Silnie i nieugięcie przeciwstawia się fałszom niemieckim, przełamuje polskie zobojętnienie dla wyników badań nauki, odsłania stanowczo krzywdę i zbrodnie, których ofiarami pada pod przemocą germańską ludność słowiańska.

„Bo nie o co innego chodzi, jak o to właśnie: aby spoufalić, aby otrzaskać, aby zaprzyjaźnić dzisiejszego Polaka z ziarnami, z których wyrósł on i jego naród. — Dotychczas sprawę początków załatwiało się legendami. Ale pocóż sięgać do źródeł pleśnią wieków zmąconych; dziś sama nauka, sama najpewniejsza wiedza wie o początkach państwa polskiego tyle, że gdyby połowę tego znał Polak — wszystkie problemy współczesne stałyby przed nim jasne i przejrzyste"...

Oto pierwszy cel książki Kisielewskiego: dać czytelnikowi literacki, syntetyczny reportaż z setek dzieł naukowych, stwierdzających prawdy ogółowi polskiemu nieznane, których poznanie tem jest konieczniejsze, że w Niemczech każdy obywatel wie i szczyci się fałszywemi mitami o pragermańskości nietylko tych ziem, na których mieszka, ale i tych, na których skrzepło w potęgę państwo polskie. Wymownym dokumentem pospolitych kłamstw „nauki" i polityki Trzeciej Rzeszy niech będzie choćby tylko nadgraniczny pomnik odwetu, postawiony przez Niemców pod Piłą, z napisem: „Nigdy, Niemcze, nie zapomnij, co ślepa nienawiść tobie zrabowała. Oczekuj godziny, która zmaże hańbę krwawiącej granicy". A poniżej widnieją nazwy miast... „zrabowanych" Niemcom: „Gdańsk, Toruń, Grudziądz, Chełmno, Starogard, Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Rawicz, Inowrocław, Leszno".

Książka Kisielewskiego przypomina stwierdzenia nauki, że właśnie ludy słowiańskie od kilku tysięcy lat były zasiedziałą ludnością rolniczą na obszarze od stepów ruskich aż po brzegi Renu, że dopiero później żywioł słowiański cofał się na Wschód, wypierany przez germańskich najezdników ze Skandynawji; przypomina dalej ta książka, że słowiańskie nazwy między Odrą a Łabą świadczą: tu byliśmy! — że ślady polskości w „Pomeranii" jeszcze dziś są widoczne, że tu, jeszcze przed pół wiekiem, mówiono tą samą gwarą, jaką posługują się Kaszubi na Kartuzach i pod Gdynią, że wreszcie po dzień dzisiejszy spotkać można w centralnych ziemiach Trzeciej Rzeszy ośrodki z obyczajem słowiańskim, że pięć kilometrów od Berlina, w Spreewaldzie, wieśniacy mówią słowiańskim językiem!...

To jeden cel książki Kisielewskiego: przeciwstawienie się propagandzie niemieckiej. „Cała literatura publicystyczna w Niemczech nawarstwia, nawarstwia, nawarstwia potworną lawinę samookłamywania. I przychodzi chwila, że lawina rusza, że grzebie ich pod kłamstwem, które sami z takim trudem wznieśli. Nie, ta moja książka musi być uczciwa. Bez ogródek o Niemczech, bez ogródek o Polsce. Że tyle, a tyle okazyj straciliśmy, że wtenczas przegraliśmy, że wtenczas byliśmy niedołężni. A wiesz poco to? Ażeby stało się to, na co się zanosi, że wreszcie pojmiemy sens dziejów. Że się wreszcie przełamie zła droga i zacznie dobra. Że ani jednego kilometra z tego, co mamy".

A drugi cel książki „Ziemia gromadzi prochy": Otwarcie oczu całego społeczeństwa polskiego na to, co się dzieje z naszymi rodakami pod panowaniem pruskiem, a w szczególności na najbardziej przez nas zapomnianem Pomorzu Zachodniem.

„Piszę te słowa w pełnem poczuciu odpowiedzialności — oświadcza Kisielewski. — Wypowiadam je, korny sługa Ojczyzny, w obliczu majestatu mego narodu: *Kaszubi po stronie niemieckiej giną w okropnej męce, w poniewierce*, o której nie można mieć pojęcia, o ile się tego nie widziało. Wszelki humanitaryzm, wszelka ludzkość, wszelki okruch współczucia został porzucony. Dokonuje się tu jedna z najpotworniejszych tortur, jakie zna historja. Wobec nich obozy koncentracyjne są niewinną igraszką. To wszystko dzieje się dwa, trzy, pięć kilometrów od Chojnic, kilkanaście kilometrów od Kościerzyny i Kartuz. Czy chodząc po tych pomorskich miastach wie się, że za wschodnią ścianą — ludzie spływają krwawym potem męki? Czy wie się to, czy się pamięta?"...

Kisielewski jest solidny, ma głęboko wkorzenione poczucie odpowiedzialności. Nie rzuca słów na wiatr. Ich prawdę podmurowuje faktami, cytuje daty, zarządzenia, odtwarza rozmowy i oświadczenia.

Książka Kisielewskiego, zamierzona u progu podróży do Rzeszy jako reportaż literacki, przeobraziła się w historyczny dokument, stała się czynem społecznym, czynem politycznym. Nie poznać jej — wręcz niewolno!

Mimo bolesnej wymowy tysiąca faktów mądra książka Kisielewskiego krzepi. Zaborczemu imperjalizmowi pruskiemu — przeciwstawiamy silniejszy imperjalizm ducha. Jesteśmy młodzi, rośniemy w siłach!

P. S. „Ziemia gromadzi prochy" — publikacja zamało jeszcze znana i raczej niedoceniana — ukazała się w nadzwyczaj pięknem i celowem opracowaniu graficznem nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Stan. Witold Balicki.



Ilustracja z książki Józefa Kisielewskiego: „Ziemia gromadzi prochy".

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 23 — **Niedziela, 4 czerwca 1939** — **Rok V**

ASY NUMERU 23-GO:



Gdy Europa przechodzi od półtora roku coraz to nowe wstrząsy polityczne, Ameryka, będąca w szczęśliwszem położeniu, skupiła swe zainteresowanie na wspaniałej wszechświatowej wystawie w Nowym Jorku, w której wzięły udział liczne państwa amerykańskie i europejskie, a wśród nich i Polska. Na naszem zdjęciu widzimy fragment polskiego pawilonu, otwartego w dniu 3 maja. Przed pawilonem zwraca uwagę swą aktualnością konny posąg króla Władysława Jagiełły, który przypomina wielkie nasze walki z przed 500 lat, stoczone z zachodnim sąsiadem.

DZWONY

o 6 tej WIECZÓR



Na lewo: Stara dzielnica Zurychu, iluminowana z okazji „Święta Wiosny".

Poniżej: „Miotacz flag" w pochodzie „Święta Wiosny" w Zurychu.



Cudzoziemcowi na krótko do Zurychu przybywającemu, wydaje się, iż ta metropolja Szwajcarji jest miastem nowoczesnem, gdzie można się smacznie wyspać w jednym z luksusowych hoteli, w pokoju z widokiem na jezioro, kupić piękny jedwabny krawat, precyzyjny zegarek, przejechać się motorówką po jeziorze, załatwić interesy, kupić na drogę paczkę niezrównanej Lindta, wsiąść do pociągu o elektrycznej trakcji (innych już niema) i jazda... już mnie niema!



Stylowe zaprzęgi, ciągnione przez oryginalne „pony", biorą udział w pochodzie.



W kole: Grupa dziewcząt szwajcarskich w strojach z epoki biedermeyerowskiej.

Jest to tymczasem gruba pomyłka. Zurych, to stare, bardzo stare miasto — o tradycjach, przeszłości i historji wiele setek lat liczących. Trzeba tylko poszukać pod nosem leżącej dzielnicy „alt Zürich" nad brzegami Limmatu, trzeba zajść w romantyczne zaułki, obejrzeć stare patrycjuszowskie domy, spojrzeć na dumne wieże średniowiecznych kościołów św. Piotra lub też „Fraumünster" — tam, gdzie wywodzi się ruch Zwingli'ego. Turysta przeciętny, wysiądzie na potężnym dworcu głównym, przejdzie po lśniącej Bahnhofstrasse, pełnej pięknych wystaw i magazynów, zajdzie wieczorem do stojącego na wysokim poziomie „Stadttheatru", przespaceruje się po iluminowanym Quai, oglądnie handlowe nowoczesne „City" i już jest po wszyskiem.

Bardzo wielką rolę i wpływ — może nawet dominujący w życiu Zurychu — zwłaszcza w wiekach średnich odgrywały cechy rzemieślnicze. Rola ta dzisiaj, oczywiście nie jest tą z przed setek lat, ale i tak wywiera niemały wpływ na dzisiejszy nowoczesny tryb życia tego bogatego i pięknego miasta. Do dziś dnia podziwiać można nad brzegami rzeki Limmat — biorącej początek w ujściu jeziora zurychskiego — w samem sercu miasta — stare, setki lat liczące domy i siedziby poszczególnych cechów.

U nas w Polsce, cechy rzemieślnicze są właściwie organizacjami wyłącznie zawodowemi. Tymczasem organizacja cechów w Zurychu jest zasadniczo odmienna. Do poszczególnych cechów, oprócz samego majstra czy też czeladnika — wpisuje się tradycyjnie jego cała rodzina, a więc żona, dzieci itd. Następne pokolenia, również już z dziada, pradziada należą dalej do tego samego cechu — jakkolwiek nie mają już często nic wspólnego z danym zawodem. Do cechów należą więc ludzie wszelkich istniejących zawodów, jak to np. lekarze, adwokaci, przemysłowcy, sędziowie — wszystko potomkowie rzemieślnika, który ongiś ze względów zawodowych należał do danego cechu.

Dzisiejsze więc cechy — to organizacje o charakterze wybitnie towarzyskim, co jest możliwem przy tak dla Szwajcarji charakterystycznym, szeroko rozwiniętym i wrodzonym ustroju demokratycznym.

Tak więc wszystkie prawie cechy w Zurychu mają, jeżeli już nie swoje własne kamienice cechowe — to obszerne siedziby i lokale z restauracjami, czytelniami, salonami — gdzie, zwłaszcza wieczorami, przychodzą członkowie na kolację, partję taroka lub lampkę wina z nieodzownem cygarem.

Czem cechy dawniej były i jakie znaczenie jeszcze dzisiaj posiadają — odzwierciadlają się najlepiej w popularnym i lubianym obchodzie t. zw. „Sechseläuten“ rokrocznie się odbywającym w Zurychu.

„Sechseläuten“ — to święto wiosny — obchodzone w najbliższy poniedziałek po zrównaniu dnia z nocą. Sama nazwa „Sechseläuten“ czyli po polsku „dzwonienie o szóstej“ — pochodzi stąd, iż od dnia tego, potężne dzwony największego kościoła zurychskiego „Fraumünster“ — nie dzwonią, jak porą zimową o godzinie 5-tej, lecz o 6-tej pod wieczór. Nazwa ta ma już 150-letnią tradycję.



Na prawo: Młodzież szwajcarska niesie w pochodzie flagi z różnemi godłami.



Płonącego na stosie bałwana, uosobiającego zimę, objeżdża dookoła grupa jeźdźców — jest to końcowa scena obchodu „Święta Wiosny“.

Sam sens i początek obchodu sięga setki, setki lat wstecz, kiedy to jeszcze w Europie, w czasach pogańskich, przyjście wiosny obchodzono uroczystościami religijnemi oraz obchodami publicznemi. W Zurychu, święto wiosny od czasów średniowiecza, organizowało cale mieszczaństwo, a zwłaszcza potężne cechy, których pierwsze zaczątki wywodzą się jeszcze z roku 1336 — tak, iż niedawno w r. 1936 obchodzono uroczyście w Zurychu ich 600-letnią rocznicę powstania.

Data 1336 r. — to rok, w którym rycerz z Zurychu, Rudolf Brun — w następstwie rewolucji mieszczaństwa zurychskiego przeciwko autokratycznym rządom szlachty — nadał miastu nową konstytucję, mocą której z 13-tu już wówczas istniejących cechów rzemieślniczych oraz cechu junkrów zwanego „Gesellschaft zur Constaffel“ lub „Rüden“ — do którego należała szlachta i pierwsi obywatele miasta — utworzył radę miejską i zarząd miasta.

Od tego czasu począwszy, urządzają zurychskie cechy rzemieślnicze — tradycyjny obchód święta wiosny „Sechseläuten“, które z czasem staje się radosnem świętem wszystkich mieszkańców tego dzisiaj największego i najbogatszego miasta Helwecji.

Obchód „Sechseläuten“ trwa dwa dni. W niedzielę, w godzinach popołudniowych odbywa się barwny pochód tysięcy dzieci i młodzieży całego Zurychu wraz z dziesiątkami własnych orkiestr. Oczywiście całe bractwo poprzebierane we wszelkie możliwe i niemożliwe kostjumy historyczne, a przeważnie fantazyjne — wszędzie śmiech, radość, wrzaski. W pośrodku pochodu jedzie olbrzymi wóz zaprzężony w cztery potężne perszerony. Widzimy na nim olbrzymiego bałwana, wypchanego watą, w czarnym cylindrze na głowie, z rózgą w ręku i fajką w zębach. Nazywa się on „Böögg“ i personifikuje kończącą się zimę. Pochód przy skocznych melodjach granych marszów, a zwłaszcza popularnego i ulubionego „Sechseläutenmarsch“, którego pośpiewuje na ulicy przez cały rok każdy ulicznik — obchodzi główne ulice miasta, obsadzone gęsto mamusiami i tatusiami, pragnących zobaczyć swoje pociechy, biorące udział w pochodzie, poczem zbliża się powoli do centralnego i największego placu Zurychu „Bellevue“, położonego pięknie nad brzegami jeziora. Na środku jego widać już olbrzymi stos ułożony z smolnego łuczywa. Na szczycie stosu umieszcza się „Böögg‘a“, a godziny jego są już policzone — zostanie bowiem nazajutrz uroczyście spalony. Na tem kończy się pierwszy dzień uroczystości święta wiosny — będący dniem święta dzieci i młodzieży.

Dzień następny — poniedziałkowy, jest głównym, kulminacyjnym punktem całego obchodu „Sechseläuten“. Zurych przybiera uroczystą szatę. Wszystkie ulice udekorowane festonami, z kamienic zwisają setki flag o barwach państwowych, kantonalnych lub też miejskich. W południe praca zamiera w biurach, fabrykach, sklepach — stają nawet maszyny rotacyjne wielkich dzienników, których popołudniowe i wieczorne wydania w dniu tym nie wyjdą. Zjeżdżają tedy na dzień ten dziesiątki pociągów popularnych z całej niewielkiej Szwajcarji, by zobaczyć barwny, historyczny pochód — jedyny w swoim rodzaju. Kto nie bierze bezpośrednio udziału w pochodzie, ten jest jednym z dziesiątek tysięcy widzów na ulicach lub w oknach domów, obok których przejdzie wspaniały pochód i będzie rzucał pełne naręcza kwiatów na idących w pochodzie braci, synów, mężów, znajomych...

Zasadniczą treścią i trzonem całego pochodu są oczywiście wszystkie w Zurychu istniejące cechy, a jest ich obecnie około 30-tu. Szereg wśród nich powstało w ostat-

Dokończenie na str. 31-ej.

Poniżej: Centralną figurą pochodu jest legendarny Wilhelm Tell, który kroczy z synem niosąc łuk na ramionach.

Wszystkie zdjęcia: Zygmunt Borzęcki, Zurych



PREZENT NA „DNI KRAKOWA”

MUZEUM ZIEMI KRAKOWSKIEJ

Od wielu miesięcy w pałacu Wołodkowiczów w Krakowie, przy ul. Lubicz, wre praca, słychać stuk młotków: jacyś ludzie krzątają się ustawicznie przy robocie murarskiej. Inni znów wnoszą jakieś skrzynie o nieznanej nam bliżej zawartości — i różne sprzęty pięknie zdobione malowidłami ludowemi.

Zaintrygowani tem wszystkiem, udajemy się do pałacu, by zbadać tajemnicę. Wita nas dyrektor Muzeum Etnograficznego dr. Tadeusz Seweryn — on to bowiem jest głównym kierownikiem i inicjatorem prowadzonych robót. Rozentuzjazmowany, odsłania przed nami tajemnice i mówi o postępach pracy przy przebudowie pięknych sal pałacu, które otrzymało w darze Muzeum Etnograficzne dla swego użytku od Wołodkowiczów. Będzie to muzeum regjonalne Ziemi Krakowskiej, dające przegląd bogactwa sztuki ludowej naszych okolic.

Wchodzimy przez pięknie zrekonstruowane wrota z cieniutkich belek nieciosanych do jednej z sal pałacu, która dzisiaj już w niczem nie przypomina wspaniałości magnackiego mieszkania. Ustawiono tu chatę, krytą strzechą — rekonstrukcję chaty z Zielonek pod Krakowem, z pięknie okutemi drzwiami, w kącie stoi kapliczka z przedmieść krakowskich. Inne drobiazgi, jak gniazdo jaskółcze pod strzechą, gołębnik, zieleń i błękitne niebo — stwarzają sielski nastrój.





Od lewej: Fragment chaty z Zielonek. — Piec w izbie z Powiśla Dąbrowskiego.

We wnętrzu izby Błażeja Czepca z Bronowic, uderza wierność w oddaniu charakteru wiejskiej izby. Ściany malowane tak, jak w jego własnym domu — w drobne rzuty prymitywnych ornamentów, bądź ze stylizowanych kwiatów. U stropu wisi pająk. Wokół ścian meble ze Skawiny, malowane przez żyjącą jeszcze Marję Witkowską, dziś już staruszkę. (Meble te niesłusznie są nazywane bronowickiemi). Reszty dopełniają obrazy ludowe. W chacie panuje półmrok — światło przebija się przez małe okna, dostosowane do charakteru izby.

W następnej izbie, z Powiśla Dąbrowskiego, zwraca uwagę piękny pułap, czarujący swoją barwnością, ozdobiony stylizowanemi kwiatami, misternie wykonanemi przez sprowadzone tu malarki wiejskie z Kłyża z pow. dąbrowskiego — Rozalję Zaród i Helenę Nawrocką. Sympatyczne te dziewczęta chętnie popisywały się przy nas swoją umiejętnością artystyczną, a zapytywane o inne malarki z ich wsi, odpowiadały z filuternym uśmiechem: „Ona nic nie robi, bo staro, bo niedowidzi!”. One to malowały także i piec w tej izbie, jak i dokonały wszystkich innych potrzebnych malatur.

W izbie tej są sprzęty z Powiśla Dąbrowskiego, wiele obrazów ludowych, między innemi i Barańskiej. Całość tchnie atmosferą ludową, nawet piece budowane są przez specjalistę zduna sprowadzonego z Pierszyc.

Uzupełnieniem tych izb mieszkalnych jest komora, z różnemi sprzętami użytkowemi, jak żarna, konewki, skrzynie i różne podręczne statki gospodarstwa domowego, pochodzące z Powiśla Dąbrowskiego. Charakterystycznym jest kominek wiszący do oświetlania przy pomocy szczap smolnych.

Reszta sal pałacu, utrzymana w dawnym tonie, została zużytkowana na pomieszczenie innych działów sztuki ludowej. I tak w jednej z nich znajdziemy rzeźby Andrzeja Wawry, w następnej znowu zapoznamy się z twórczością ludu podkrakowskiego na polu hafciarstwa, dalsze zaś dwie sale obrazują bogactwo pięknych i barwnych strojów krakowskich.



Na prawo: Andrzej Wowro: „Chrystus frasobliwy”.



Jan Wnęk: „Śpiący apostołowie” (Odporyszów, powiat Dąbrowa).

Dyrektorowi Sewerynowi udało się rozwiązać najtrudniejszy problem muzeów etnograficznych — nudę! Potrafił on wprowadzić do pałacu Wołodkowiczów życie i rzeczywistość. Spacerujemy po chłopskiej izbie, podwórzu, to znowu wchodzimy do prawdziwej olejarni z Odporyszowa z pow. dąbrowskiego, jakby gotowej do wytwarzania oleju lnianego — ująć tylko trzeba za tarany i nabić klinami prasę. — To znowu przenosimy się w świat obrzędów ludowych Ziemi Podkrakowskiej — oglądamy model lajkonika, szopki, dziady śmigusne, różne wieńce dożynkowe, weselne i wiele, wiele innych charakterystycznych obyczajowych przedmiotów, które wnoszą tyle radości pod wiejskie strzechy.

W innem znów miejscu spotykamy ceramikę ludową i piec garncarski z Zalasa z pow. chrzanowskiego, to znowu ule, sieci rybackie — wszystko doskonale zgrupowane i estetycznie ustawione. Na każdym kroku odczuwa się piękno kultury ludowej, czy to w prymitywnych, a nawet czasem naiwnych rzeczach, czy we wspaniałej rzeźbie Jana Wnęka (który żył w połowie XIX wieku).

* * *

Życzyć by należało, aby Muzeum w pałacu Wołodkowiczów stało się zaczątkiem polskiego Skansenu, projektowanego już dawno w krakowskim Lesie Wolskim. Przecież dzisiejszy słynny na cały świat Skansen, podobnie jak Kraków, nie odrazu zbudowano. Zaczęło się od gromadzenia poszczególnych zabytków kultury ludowej szweckiej, które zbierał zapalony szwecki etnograf dr Hazelius. Dopiero w roku 1890 zaczął on stawiać na wolnem powietrzu zabudowania wiejskie, przenosząc nieraz z dalekich stron swej ojczyzny piękne ludowe budowle.

Nasz Hazelius — dr. Seweryn — podobnie jak tamten, rozmiłowany w sztuce ludowej naszego kraju, entuzjazmuje się każdym najdrobniejszym jej przejawem i stwarza dla niej najodopowiedniejsze ramy. — Dawno marzy o stworzeniu muzeum na wolnem powietrzu i kto wie, czy ten zaczątek rekonstrukcji izb i chat ludowych, które przed chwilą oglądaliśmy, nie stanowią zaczątku muzeum na wolnem powietrzu — tak, jak to miało kiedyś przed laty miejsce w jednem z największych muzeów tego rodzaju na świecie...

Opuszczamy muzeum — praca wre dalej i postępuje w szybkiem tempie naprzód — Muzeum bowiem ma być udostępnione dla publiczności już w czerwcu.

Mgr. P. Grossowa.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Ostatnia serja, wydana przez królestwo rumuńskie należy bezwątpienia do jednej z bardziej udanych i to nie tylko pod względem czysto artystycznym, ale również pod względem tematowym. Daje nam ona przegląd ważniejszych momentów historji kraju, który powstał z połączenia Wołoszczyzny i Mołdawji pod berłem księcia Karola Hohenzollerna. Widzimy go na znaczkach w różnych chwilach jego życia od 8-go roku aż do późnej starości. Na znaczku za 15 lei widzimy go wraz z królową, znaną autorką Carmen Sylvą. Poza tem widzimy na znaczku za 1.50 lei zamki dynastji rumuńskiej, a mianowicie rodzinny zamek w Szwabji — Sigmaringen, z którego wywodzi się katolicka linja Hohenzollernów, oraz zamek Peles w Rumunji.



Najnowsza serja znaczków rumuńskich, ozdobiona portretami władców Rumunji oraz scenami i widokami, łączącemi się z jej historją.



Na lewo: Oto piękny okaz motyla, zwanego perłowcem szachownicą, którego gąsienice żyją na pewnych gatunkach traw.



Rusałka pawik jest motylem o niezwykle pięknych kolorach.



Poniżej: Celem odstraszenia motyli od objadania kapusty umieszcza się na zagonie patyki, na których końcu tkwią puste skorupki z jajek.

MOTYLE - HEROLDOWIE WIOSNY

Zanim przyroda zdąży się ocknąć całkowicie z zimowego letargu i zanim pękną pączki nabrzmiałe od soków i ustroją krzewy i drzewa w piękną, soczystą, pierwszą zieleń, zanim przylecą z ciepłych krajów przemiłe jerzyki i jaskółki oznajmiające wiosnę w całej pełni, jej wcześniejszymi zwiastunami są niektóre z pośród motyli.

Wbrew jednak powszechnemu mniemaniu nie są to motyle wylęgłe teraz wczesną wiosną lecz zeszłoroczne, które w ukryciu przezimowały, a tylko ze snu obudziły je pierwsze promienie wiosennego słońca.

Latają wesoło, ciesząc się życiem nad zielenią łąk, ogrodów i lasów. Życie motyla jest częstokroć bardzo krótkie toteż niebawem łączą się one w pary, aby zapewnić byt swego gatunku. — Zwykle samiczki żyją nieco dłużej aniżeli samczyki, giną jednak niedługo po złożeniu jajek. Niektóre z nich zaś mogą przezimować i te właśnie ukazują się najwcześniej na wiosnę.

Jednym z pierwszych motyli, zwiastujących wiosnę jest powszechnie znany o cytrynowo-żółtej barwie skrzydeł — latolistek cytrynek, który jako owad doskonały zimuje pod zeschłymi liśćmi i pojawia się gromadnie. Ponieważ zaś żyje w dwóch pokoleniach wiosennem i letniem, przeto nieprzerwanie można go widzieć aż do późnej jesieni.

Równocześnie z nim budzi się z zimowego odrętwienia rusałka pokrzywnik, motyl bardzo częsty, pospolicie „fuksem" nazywany. Gąsienice jego, skąd nawet poszła nazwa motyla, żerują na pokrzywach. Jak większość rusałek przezimowuje czy w szczelinach kory lub pod korą drzew, czy też pod zeschłymi liśćmi, a niekiedy także i w zakamarkach strychów lub stodół. Toteż gdy motyle te opuszczają na wiosnę swe zimowe kryjówki, skrzydła ich noszą na sobie już tylko ślady dawniejszej urody. Pyłek z nich w wielu miejscach został starty, a brzegi skrzydeł wystrzępiły się. — Dopiero później wylęgłe motyle, latające już w lecie, cieszą nasze oczy blaskiem pełnej piękności. Unosząc się nad polami i ogrodami od lutego i marca, zmęczone lotem spoczywają na płotach lub nagich jeszcze drzewach. — W tym samym czasie ukazuje się również rusałka wierzbowiec, która obsiada pnie drzew z wyciekającym sokiem, a zwłaszcza wierzb i wygrzewa się do słońca składając i rozkładając skrzydełka.

Nieco później, bo pod koniec kwietnia masowo pojawia się bielinek kapusnik jeden z najgroźniejszych motyli, ponieważ jego gąsienice ukazujące się nieraz w olbrzymich wprost ilościach niszczą pola kapusty oraz inne rośliny z rodziny krzyżowych.

Samczyki mają skrzydła kremowo-białe przyczem pierwsza para ma ciemny szlaczek na brzegach, u samiczek prócz ciemnego obrzeżenia występują jeszcze i ciemne dwie kropki na każdem górnem skrzydle. Samiczki latają nad zagonami kapusty lub rzepy czy też nad rabatami wonnych lewkonij, od czasu do czasu przysiadając na ich liściach.

Gdyby przyjrzeć się bacznie liściom tych roślin, które odwiedzały samiczki bielinka, możnaby zauważyć na ich spodniej stronie grupki maleńkich jajeczek, ułożonych jedno przy drugiem. Wkrótce z jajeczek owych, bezpiecznych przed deszczem i okiem wroga, wylęgają się maleńkie gąsieniczki żółtawe, nakrapiane czarno, które rosną bardzo szybko. Żarłoczność gąsienic jest tak wielka, że wreszcie kapusta zostaje dosłownie zjedzona i na zagonie widać same tylko szkielety — pozostałości po unerwieniu liści kapuścianych.

Pod koniec lata gąsienice rosną gwałtownie i przenoszą się ze swego żerowiska w zaciszne miejsca, a więc wędrują na płoty lub na ściany domostw, pod ich dachy, aby tam zamienić się na poczwarki i w tym stanie przezimować.

I inni przedstawiciele rodziny bielinków dają się porządnie we znaki, gdyż gąsienice

Dokończenie na str. 31-ej.



Na lewo: Niestrzęp głogowiec najchętniej odwiedza drzewa owocowe, składając na ich liściach jajka.

Zdjęcia: Jacques Boyer — Paryż.

POWRÓT

KAZIMIERZ ŁUKOCZ · **N O W E L A**

Andrzej Doty z zadowoleniem wygodnie rozsiadł się na obitej czerwonym pluszem ławce przedziału kolejowego pierwszej klasy i obserwował przez okno spieszącą do pociągu publiczność. Był piękny wiosenny dzień: pierwsze gorąca i pierwsze kwiaty tworzyły atmosferę pełną rozmarzenia.

Doty nie był marzycielem: czasem tylko pozwalał sobie na ominięcie swych życiowych reguł i. jak palacz, który w niedzielę pali drogie, hawańskie cygaro, tak i on uważał, że tym razem naprawdę może zapomnieć o swych wielkich interesach, planach na przyszłość, sukcesach i zadaniach i stać się, choćby na kilka godzin marzycielskim, romantycznym, nawet śmiesznym w tej czułostkowości, jakiej dotąd nigdy w życiu nie odczuwał.

Okazja po temu była niecodzienna, jedyna w swoim rodzaju. Po dwudziestu pięciu latach pobytu w Paryżu, zagranicą, w Ameryce, Anglji i Włoszech, powracał do małej mieściny południowo-francuskiej, z której pochodził.

Skonfrontowanie tego, co pamiętał z lat młodości, co utkwiło mu w pamięci jako charakterystyczne cechy jego ówczesnego otoczenia, z tem, co miało się ukazać obecnie jego oczom, było zadaniem, które niezwykle go nęciło. Wyjechał, a raczej wywędrował z Crans, mając lat siedemnaście. Porzucił nauki w miejscowem gimnazjum, sprzedał za kilka franków swoje drobiazgi, ojcu wyjął z biurka sto franków i pod osłoną nocy opuścił rodzinny dom. Wtedy Andrzej Doty był tylko pełnym fantastycznych pomysłów młodzieńcem, któremu za ciasno było w jego otoczeniu i który na chybił trafił wybiera się w świat, nie wiedząc, ściśle biorąc, czego się od niego może spodziewać. Gimnazjum męczyło go i nudziło w najwyższym stopniu: nietylko, że otrzymywał złe stopnie i pewno nigdyby nie doszedł do jego ukończenia, ale profesorowie patrzyli na niego o tyle krytycznie, że znany był z lenistwa, licznych psot i nieposłuszeństwa. — Jedyna rzecz, jaka go zajmowała, to chyba chemja, to też wśród swych nauczycieli jedynie stary dziwak La Boule brał go w obronę, gdyż widział jak chłopak pilnie słucha jego wykładów, a nawet nieraz pyta go o dodatkowe wyjaśnienia. Ale trudno przechodzić z klasy do klasy jak się ma ze wszystkich przedmiotów niedostatecznie, a jedynie z chemji celująco! To też wziąwszy to wszystko pod uwagę Andrzej Doty uważał za najwłaściwsze zniknąć z Crans i pójść własnemi drogami.

Wkrótce przekonał się jednak, że przygoda, jaką postanowił przeżyć, znacznie ciekawiej i piękniej wygląda w książkach jak w praktyce. Wprawdzie szedł przez nikogo nie molestowany szosą, wiodącą na północ, ale nocowanie pod gołem niebem i ukrywanie się przed ukazującymi się od czasu do czasu policjantami, nie należało do przyjemności. Pościgu ze strony rodziców nie obawiał się, gdyż wiedział, że rodzice uważają go za darmozjada, za chłopaka złego z którego nie będzie pociechy. Nie musieli też być zbytnio zmartwieni jego zniknięciem, tem więcej, że ojciec nieraz mu mówił, iż dopiero ciężkie walki z życiem o kawałek chleba zdołają z niego zrobić porządnego człowieka.

Pomimo swej przedsiębiorczości i silnego postanowienia dojścia nietylko do Paryża, ale też do jakiejś w życiu pozycji, Andrzej czuł się bardzo osamotniony i przygnębiony. Gdy nieraz siadywał wieczorem w rowie, obserwując okolicznych chłopów, pędzących bydło do zagrody, gdy wyjmował z swego tornistra kawałek chleba, by zaspokoić piekący głód, był sam z sobą w rozterce. Dochodził powoli do przekonania, że podjął się zbyt wielkiego zadania, któremu nie sprosta. Przypominały mu się wtedy słowa ojca, gderanie matki, słyszał złośliwe uwagi swych nauczycieli, kolegów i sam nie wiedział, co począć. Ale już było zapóźno: cofnąć się znaczyło tyle, co wystawić się w całem miasteczku na pośmiewisko i uniemożliwić sobie współżycie z rodzicami.

I tak musiał brnąć dalej. Szedł przed siebie, rozpytując się raz po raz o drogę, ciągle na północ, ciągle w stronę jedynego miasta na świecie — Paryża.

Obdarty, zmęczony, głodny, przyszedł wkońcu do „miasta świateł". Była to niedziela. Na przedmieściu panowała ciężka, nudna atmosfera. Z oberży dolatywały tony jakiegoś akordeonu, krzyki pijanych ludzi i śmiechy. Przed domami siedzieli ludzie, gawędząc, paląc fajkę czy papierosa, wypoczywając po tygodniowym wysiłku. Czuł na sobie wzrok tych ludzi mających dom i rodzinę, mających uskładane pieniądze w banku, pewnych siebie, wiedzących, co ich czeka jutro i co ich może spotkać. Marzył o łóżku, ciepłej strawie i wypoczynku. Zagadnięty przez jakąś starszą kobietę, opowiedział jej swoje przeżycia, zmieniając nieco stan faktyczny i twierdząc, że umarli mu rodzice, a on przyszedł pieszo do Paryża, by odszukać jakąś daleką krewną, której ojciec polecił, umierając, nad nim opiekę. Gdy opowiadał całą tę wzruszającą historję, dziwił się nawet, że tak ją zgrabnie zdołał sklecić, nigdy bowiem nie odznaczał się w szkole zdolnością w wypracowywaniu zadań szkolnych z języka francuskiego.

— A co umiesz, mały — zapytała wkońcu kobieta.

— O, skończyłem przecież gimnazjum, miałem bardzo dobre noty! Mogę być pomocnym w każdem przedsiębiorstwie! — Mówił, jakby sobie dawno obmyślił słowa, wiedział bowiem, że od tego przygodnego spotkania może zależeć w dużej mierze jego przyszłość.

Kobieta zaprosiła go do domu. Syn jej posiadał opodal małą drogerję, w której potrzebował właśnie pomocnika, umiejącego rozróżnić mydło od pasty do froterowania posadzek, a w miarę obrotnego, sympatycznego i wygadanego. Te wszystkie zalety posiadał, mniej więcej, Andrzej. Gdy swemu przyszłemu pryncypałowi zaczął opowiadać o doświadczeniach chemicznych, gdy wymienił kilka łacińskich nazw, zdołał go przekonać, że właśnie on będzie wymarzonym, a w każdym razie odpowiednim pomocnikiem.

I tak, mając lat siedemnaście, Andrzej Doty został pomocnikiem w drogerji paryskiej, z pensją kilkudziesięciu franków, które zresztą zaczęto mu płacić dopiero po kilku miesiącach. Odszukiwanie dalekiej krewnej, do której właściwie miał się udać, jakoś wpadło w wodę i nikt więcej o to nie pytał. Chłopak, kochający przedewszystkiem wolność i brak przymusu szkolnego, zaczął się czuć zupełnie dobrze, gdy szef jego pozostawiał mu dosyć dużo swobody, przekonawszy się, że chłopak jest pojętny, uczciwy i dosyć pracowity. — A zresztą Andrzeja bawiło jego nowe życie: mówiono do niego jak do dorosłego człowieka, kumoszki, robiące zakupy na tej ulicy, polubiły go wnet za jego uprzejmość i miły wygląd, żona szefa darzyła go sympatją, w której dużo było kokieterji, a może trochę miłości.

„Monsieur André" stał się w rok po przybyciu na ulicy général Fayolles znaną postacią, o której wie-

dzieli wszyscy mieszkańcy tego „quartier". Poczynił on w tym czasie duże postępy: poznał wartość towarów, dowiedział się, gdzie i jakie wyrabiają kosmetyki, zapoznał się z gatunkami perfum, które oddawna nęciły go ze względów zresztą czysto estetycznych. W głowie młodego chłopca, jeszcze jak mieszkał w Crans, pojęcie Paryża, wytwornego, wielkiego życia wielkoświatowego łączyło się z zapachem ulubionych perfum. Gdy czytał o jakiejś słynnej artystce, lub o „wielkim" ślubie w arystokracji, automatycznie niemal wizja tego wydarzenia wiązała się ściśle z zapachem perfum. — I to kojarzenie pojęć pozostało mu w dalszym ciągu, powodując niezwykłe zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło wyrobu i pochodzenia perfum.

Krajobraz, przez który przebiegał pociąg, napełniał się coraz bardziej słońcem i barwami. Raz po raz, zwłaszcza jak pociąg zbliżał się do większych miast, oczom Doty'ego ukazywały się olbrzymie reklamy, namalowane na domach czy też na parkanach: „Parfums Doty, les seuls au monde". Uśmiechał się wielki przemysłowiec, widząc te napisy, tak dobrze mu znane, w wszelkich rozmiarach, barwach, wykonaniach. To on, Andrzej Doty, który wyczarował z ziemi, dosłownie, gdyż perfumy jego robione były na prawdziwych olejkach eterycznych, ten olbrzymi przemysł, rozsławiający raz jeszcze Francję na cały świat. To on, który wywędrował jako szukający przygód chłopak, umiał stać się wielkim odkrywcą nowych chemicznych procesów fabrykacji i zyskał dzięki temu nietylko duży majątek, ale też uznanie sfer naukowych.

Miał teraz czterdzieści dwa lat, był wielkim przemysłowcem, znanym w kraju i w całej Europie, posiadał wspaniałą willę w Pasy, rezydencję zimową w Cannes, był kawalerem Legji Honorowej i wielu zagranicznych orderów, a co najważniejsze, był szczęśliwy. Był dumny z swego dzieła, które kochał i za nic nie zamieniłby się z nikim, choćby mógł mieć jeszcze większy majątek. Bo Doty był człowiekiem nawskroś ambitnym: cenił pieniądze, ale daleko wyżej stawiał satysfakcję, jaką mu dawały sukcesy naukowe, uznanie jego zdolności jako wybitnego chemika i przemysłowca.

Coraz częściej mówiono o nim w Paryżu, coraz więcej osób zwracało się do niego o radę w wyborze perfum i prosiło o stworzenie dla nich coś jedynego w swoim rodzaju. W miarę tych przeżyć rosło doświadczenie Doty'ego. Poznał ludzi i wiedział, jak i czem można im zaimponować i stać się użytecznym, a nawet potrzebnym. Gdy na rynku perfumeryjnym ukazał się „Sourire d'un faune" perfumy o niezwykle oryginalnym zapachu, a przytem zawarte w przepięknym, niemniej frapującym flakonie — sława Doty'ego była ugruntowana. Przed jego skład, który mieścił się w śródmieściu Paryża, zajeżdżały wytworne auta pań z najlepszego towarzystwa. Klientkami jego stały się osoby o nazwiskach znanych w całej Europie. Prędko rozchodziła się jego sława: miły i wytworny wygląd młodego człowieka, jego przekonywujący sposób mówienia, a nadewszystko umiejętność przedstawienia swych wynalazków w zakresie perfum jako sukcesy naukowe, zdobyte dzięki długim i ciężkim pracom, uczyniły z niego nie tyle sławnego fabrykanta kosmetyków, co uczonego, który dla fantazji czy z zamiłowania, poniża się z wyżyn naukowej chemji do kreowania nowych zapachów i kosmetyków wszelkiego rodzaju.

W wagonie ściemniło się. Doty chciał przeczytać gazetę, ale postanowił zaczekać aż do chwili, kiedy konduktor zapali lampę. — Okolica była mu aż nadto dobrze znana: pamiętał ją z wycieczek szkolnych, odbytych pociągiem, a nazwy mijanych stacyj łączyły się w jego pamięci zawsze z mniej lub więcej ważnym epizodem jego młodości.

Na myśl, że wkrótce, bo już za pół godziny, znajdzie się w miasteczku, które było jego miejscem urodzenia, jakiś dziwny dreszcz przebiegał wielkiego przemysłowca. Jak się wszystko musiało tam zmienić. Pewno pomarli już ludzie, których pamiętał z swych młodych lat! Czy żyła jeszcze gruba właścicielka składu z papierem na rynku, w którym Doty jako chłopak kupował kartony z malowankami, służącemi do wycinania domków, żołnierzy lub zwierząt? Pamiętał, że lubiła go jak własnego syna i nieraz darowywała mu dodatkowo jakiś zeszyt czy kolorowy ołówek. A co porabiał, o ile naturalnie żył jeszcze, stary „père Marcel", emerytowany żandarm, który brał udział w wojnie francusko-pruskiej i tak chętnie opowiadał niestworzone rzeczy o swym udziale w licznych bitwach? Był to człowiek, którego sylwetka najsilniej chyba utkwiła w jego pamięci. Wkońcu, na myśl o grobie rodziców smętek ogarnął Doty'ego, gdyż nie udało mu się ich zobaczyć przed śmiercią i pogodzić się z nimi. Uważali go w dalszym ciągu, powodując się jakąś dziwną, małomiasteczkową, upartą psychologją, za tego urwisza, jakim był lat temu wiele, za tego próżniaka, który uciekł z domu, by przeżyć jakieś niesamowite awantury i który „zmarnował" się, gdyż nie skończył gimnazjum! Mimo jego sławy, nie chcieli z nim utrzymywać żadnych stosunków, pisywali do niego tylko na imieniny, jakby z towarzyskiego konwenansu i nie interesowali się nim więcej.

Pociąg zwolnił biegu: powoli wtaczał się na małą stacyjkę w Crans.

Kilku pasażerów wysiadło z pociągu z trzeciej klasy. Wieśniacy, powracający z targu, jakiś urzędnik, który skończył podróż inspekcyjną w okolicy, kilka panienek, które odwiedzały w pobliżu mieszkającą rodzinę.

Z dworca szło się długą kasztanową aleją, po której obu stronach rozrzucone były wille miejscowych notablów. Na końcu alei znajdował się rynek, z ratuszem pośrodku. Po lewej stronie rynku biegł wysoki, czarny mur, za którym skrył się mały stary kościółek św. Ludwika, a obok znajdował się budynek poklasztorny, będący obecnie gimnazjum. Zaraz za murem kościelnym rozsiadł się w niskim, staroświeckim domu jedyny w miasteczku hotel „Pod trzema koronami". Właścicielem hotelu był emerytowany urzędnik skarbu, p. Achilles Duvaillou, wielki blagier, polityk miejscowy, mający aspiracje społeczne i kandydujący, od wielu lat, zresztą bezskutecznie, na posła. Z synem pana Duvaillou, Gastonem, łączyła w dawnych latach szczera przyjaźń małego Doty'ego. Z racji tej przyjaźni nieraz Andrzej przebywał w jego domu, przypatrywał się ludziom, bywającym w sali restauracji „Pod trzema koronami" i przysłuchiwał się opowiadaniom przyjezdnych komiwojażerów, którzy cuda opowiadali o Paryżu.

— Trzeba zanocować! — pomyślał Doty. Oczywiście w hotelu Gastona dodał po chwili. Cieszył się serdecznie na zobaczenie dawnego kolegi szkolnego. Co on teraz może robić? Jak wygląda? Zapewne prowadzi hotel po swoim ojcu, a może kontynuuje ojcowskie ambicje polityczne.

Po chwili stanął przed hotelem. Zamyślony nawet nie spostrzegł, że na miejscu dawnego małego domku, w którym było zaledwie trzy pokoje dla gości, stanął nowoczesny, choć skromny w swych rozmiarach, dom, mający pretensje do elegancji. „Minerva-hotel" widniał napis na dużej złotej tablicy nad drzwiami.

Doty uśmiechnął się. Minerwa! Wspaniale! Co za zmiany w mojem miasteczku.

Za chwilę wpisywał się do księgi hotelowej.

Trzymając pióro w ręku zamyślił się na chwilę. „Jak się mam właściwie wpisać? Prawdziwem nazwiskiem czy fałszywem? Podając prawdziwe, stanę się objektem ogólnej ciekawości, będę musiał odpowiadać na tysiączne pytania niepowołanych i nudnych ludzi. Ale może nawet Gaston mnie nie pozna? Tem lepiej, będę mógł obserwować zaszłe w miasteczku zmiany, przypomnieć sobie dawne kąty i mistyfikować moich dawnych ziomków". Mimo jednak wszystko, czuł pewną dumę, że w miejscu, z którego uciekł nocą przed wielu laty, może przyznać się do swego nazwiska, które stało się sławne w całej Francji.

„Andrzej Doty, fabrykant, Paryż" — wpisał w księdze hotelowej.

Gdy za godzinę, po przebraniu się zasiadł przy stole w restauracji i gdy usłużnie uśmiechnięty kelner zgłosił się u niego po rozkazy, postanowił wypytać go o miejscowe stosunki.

— Kto jest właścicielem hotelu? — pytał.

— Pani Gastonowa Duvaillou — odrzekł uprzejmie kelner.

— A pan Gaston?

— Umarł, proszę pana, pięć lat temu, na zapalenie ślepej kiszki. Był to bardzo ciężki wypadek. Dostał po kolacji bólów, ale zdawało mu się, że to jedynie przejściowy ból i nie wezwał lekarza. O pierwszej w nocy bóle stawały się coraz gwałtowniejsze, a gdy w dwie godziny później wezwano lekarza, pana Duval, który zresztą co dopiero wrócił do domu, bo był właśnie na przyjęciu u znajomych i grał długo w bridża, było już zapóźno. Pan Gaston był bardzo tęgi i z tego powodu, podobno, jak mówił p. Duval, choroba tak się zaostrzyła. Próbowano go ratować operacją, ale zmarł w kilka godzin później. Szkoda, był bardzo dobry i mądry człowiek, a poza tem miasto wiele z nim straciło. Był radnym miejskim, bardzo dobroczynny i bardzo poważany. — Kelner przerwał na chwilę swoją opowieść i uśmiechając się, jakby chciał zatrzeć swe poprzednie przykre słowa, przeszedł do rzeczy aktualnych. — Co pan pozwoli? Może najprzód sałatki i zimne mięso?

— Dobrze — odrzekł obojętnie Andrzej. — Niech będzie sałatka i zimne mięso.

Jeden przyjaciel już odszedł! — pomyślał. — Kogóż ja tu znajdę? Ha, trudno, to nas wszystkich czeka — zakończył swe rozmyślania filozoficznie.

Po kolacji zapytał portjera, czy może się widzieć z panią Duvaillou.

Wprowadzono go do małego saloniku, urządzonego nowocześnie z pewną kokieterją.

Młoda, przystojna osoba, o dość wybitnej tuszy, mile uśmiechnięta, stała na środku pokoju.

— Jestem Doty, Andrzej Doty. Stary znajomy Gastona — rzekł, przedstawiając się. — Będąc w Crans, chciałem go odwiedzić, ale niestety słyszę, że umarł.

— Miło mi pana poznać, choć o panu nigdy nie wspominał mój mąż, ale zawsze był tak zajęty swemi sprawami, polityką, dobrem miasta, że nie miał poprostu czasu na rozmowy ze mną. Tak, Gaston umarł, w bardzo tragicznych okolicznościach. Ale muszę panu powiedzieć, że sam sobie winien: jak tylko dostał silnych boleści po kolacji, radziłam mu zapytać się doktora Duvala, ale on, jak zwykle, uparty, o niczem nie chciał słuchać, aż było zapóźno. Operacja...

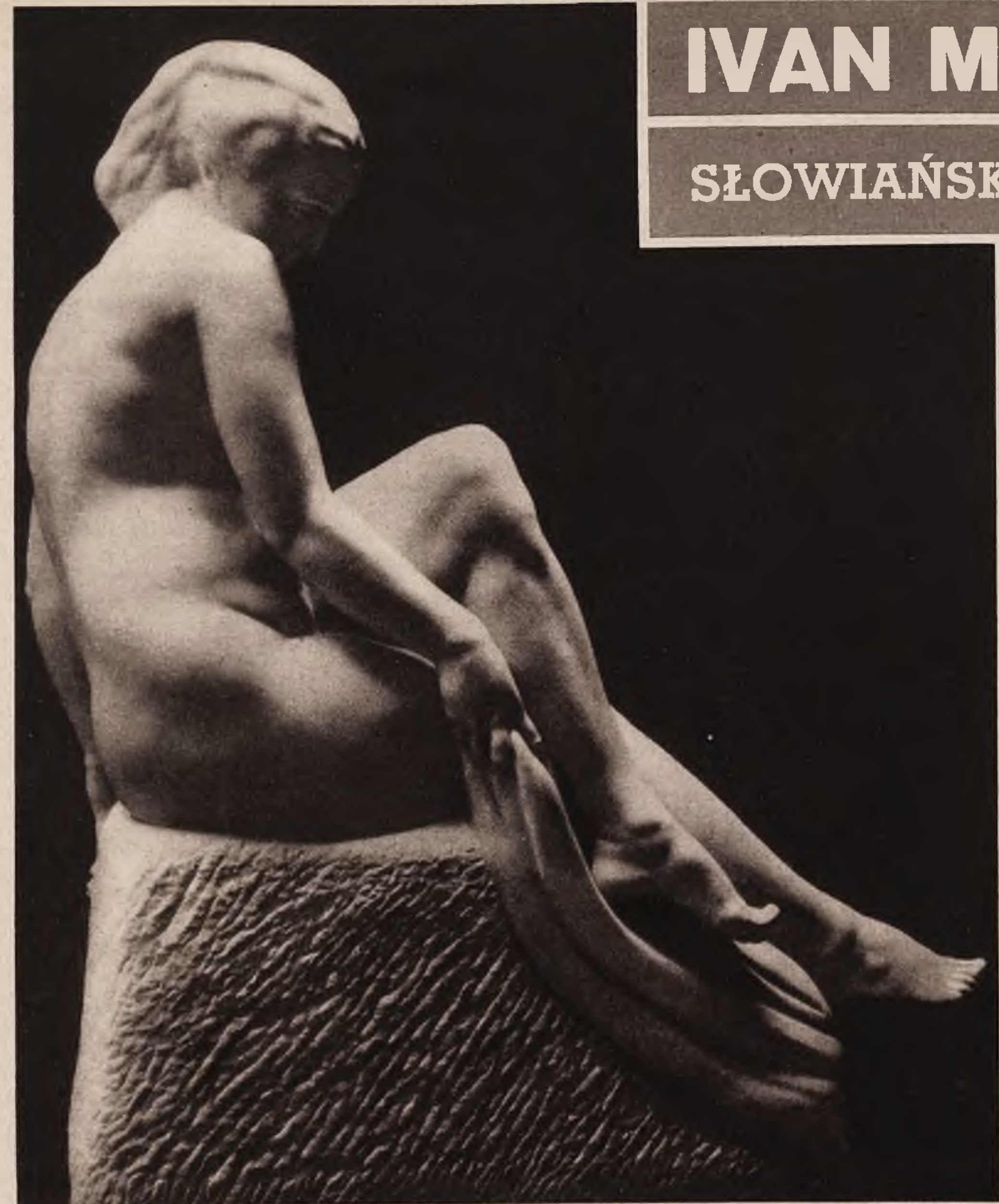
— Tak, tak, właśnie, już opowiadano mi — odparł Andrzej nieco zmęczony niezwykłą gadatliwością żony przyjaciela. — A czy zawsze Gaston, jak wtedy, gdy był moim kolegą w gimnazjum, tak namiętnie zajmował się motylami? Bo wtedy, wie pani, to miał ich piękną kolekcję, sam je łapał, preparował i ciągle powiększał swoje zbiory.

— Ale gdzież tam, proszę pana, motyle i Gaston! Toć to dwa przeciwieństwa! Człowiek, który miał tyle na głowie, co on! Nasz hotel, sprawy miasta, polityka, dobro-

(Dokończenie na str. 18-tej).

IVAN MEŠTROVIĆ

SŁOWIAŃSKI MICHAŁ ANIOŁ



Powyżej: Iwan Meštrović: Akt.

Niedawno bawił w Polsce poraz pierwszy największy rzeźbiarz współczesnej Jugosławji — Ivan Meštrović. Celem jego podróży było zapoznanie się z atmosferą kraju i narodu, którego Wodza i Wskrzesiciela zamierza uwiecznić w pomniku swego dłuta. Pragnął też zobaczyć Warszawę, a w niej miejsce, przeznaczone na ten pomnik. Niewiadomo dziś jeszcze, czy pomnik ten wkrótce zostanie wykonany i czy autorem projektu będzie właśnie Meštrović — ale sam fakt, że zainteresował się on tym tematem, jest dla nas ciekawy i frapujący. Zdawałoby się, że trudno o godniejszego mistrza, gdy idzie o uwiecznienie w formie plastycznej tego wielkiego symbolu Walki i Zwycięstwa — jakim stał się dla nas Marszałek Piłsudski.

Sztuka Ivana Meštrovića ma wszelkie dane, aby właśnie w Polsce znaleźć głębokie zrozumienie. Jest on wyrazicielem tych wszystkich ideałów swego narodu, które, od wieków stanowią duchową treść naszej historji: umiłowanie wolności, walka z przemocą, mocne i niewzruszalne przywiązanie do własnej ziemi i swojskich tradycyj, zdolność do bohaterstwa i samozaparcia. Korzenie jego twórczości tkwią głęboko w ojczystej glebie, w ubogiej, skalistej i górzystej Dalmacji, której był synem. Ten wielki eklektyk, wrażliwy na wpływy zewnętrzne, na wzory i prądy artystyczne wszystkich epok i krajów — pozostał jednak w istocie swej sztuki przedewszystkiem Słowianinem, synem bohaterskiego ludu chorwackiego. W dzieciństwie dalmatyński pasterz, dziś rektor zagrzebskiej Akademji Sztuk Pięknych, jeden z największych plastyków współczesnych, cieszący się uznaniem i powodzeniem całego kulturalnego świata — jak Prometeusz wydaje się przykuty do skał swej ojczyzny. Największe jego dzieła wyrosły z narodowych legend i mitów przeszłości, najbardziej monumentalny wyraz znalazły w koncepcji „Kosovskiego Hramu", który miał być jakgdyby świątynią idei narodowej, panteonem odrodzonej Słowiańszczyzny Południowej. — Stanąć miał on na Kosowem Polu, gdzie przed wiekami rozegrał się najkrwawszy, ale i najbardziej bohaterski akt historji serbskiej, przypieczętowany ofiarną śmiercią kwiatu rycerstwa z carem Łazarzem na czele. Z porażki ocalał tylko jeden wojownik, któremu Turcy wyłupili oczy „by był jakby symbolem zgaszonego narodu, który ma się tułać po ciemnościach tego świata". Ten ślepy guślarz poszedł w naród z gęślą z suchego drzewa. „Naród śpiewał jego smutne pieśni i wiekami szedł śladami swego cara, umierając za prawdę i wolność... Wszyscy jugosłowiańscy męczennicy od Kosowa do dzisiaj i cały naród jugosłowiański są wojownikami cara Łazarza..." (Meštrović).

Gigantyczna koncepcja narodowego kosowskiego „Sanctissimum" pozostała w sferze projektów: ani przedwojenna Serbja, ani dzisiejsza Jugosławja nie były w stanie podołać finansowo temu zadaniu. — Meštrović wykonał tylko część ozdoby plastycznej, która miała ściśle łączyć się z monumentalną architekturą „Hramu". Ale już i te fragmenty, charakteryzują dostatecznie dynamiczność talentu Meštrovića, a przedewszystkiem jego głębokie umiłowanie, odczucie i zrozumienie przeszłości i teraźniej-

Na prawo: Mauzoleum Račićów.



Poniżej: Popiersie Emira Fejsala.



szości swego kraju. „Królewicz Marko" na koniu, „Banović Strahinja", „Sergjusz o złym wzroku", szereg karjatyd słowiańskich Kor, które zdobić miały świątynię, tragiczne „Vidowdańskie wdowy" po poległych bohaterach — to symbole, jakby żywcem wyjęte z legend i eposów ludowych. Ukoronowaniem tego cyklu plastycznego jest „Portret Matki" — jedno z najgłębszych w wyrazie i najdoskonalszych w formie dzieł rzeźbiarskich Meštrovića.

Obok historji swego narodu, drugiem najgłębszem źródłem natchnienia chorwackiego mistrza jest religja. W licznych posągach i płaskorzeźbach wyraził w głęboki i swoisty sposób swą skłonność do religijnego sposobu ujmowania zagadnień życiowych, w których zawsze starał się dopatrywać rzeczy wiecznych, ponadczasowych. W cyklu swych dzieł religijnych, Meštrović ustawicznie szuka nowych sposobów artystycznego oddania tematu: raz będą to piękne, pełnego ludzkiego wyrazu i uczucia Madonny, bolesne „Piety", pełne głębokiego patosu, dekoracyjnie ujęte reljefy w drzewie, ilustrujące sceny z życia Jezusa (Chrystus i Samarytanka, Chrystus i Magdalena, Zdjęcie z Krzyża, Chrystus, wypędzający kupczących z świątyni itp.), przepiękne i dojrzałe kompozycje reljefowe „Zwiastowania" i „Madonna z Dzieciątkiem wśród aniołów" — aż wreszcie jakby synteza przeżycia przez artystę okrucieństw wielkiej wojny — „Ukrzyżowany". Krucyfiks ten, zarazem realistyczny i wizyjny, wzbudził różne krytyki i zastrzeżenia... A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że dla człowieka XX wieku, dla artysty, który przeżył szaloną zbrodnię Wielkiej Wojny, takim właśnie, a nie innym musiał być Chrystus, umierający dla świata, który Go wciąż na nowo krzyżuje.



Matka artysty.

Ale skala talentu Meštrovića jest rozległa: obok dramatyzmu jego postaci Kosovskich, obok tragicznego patosu jego ‚Ukrzyżowanego" — pojawiają się przed nami elegijne, muzyczne, miękkie i płynne w linji „Dziewczyna z gitarą", „Dziewczyna zę skrzypcami", „Dalekie akordy", „Harfiarka" itp. i cudowne kobiece akty w marmurze, piękne i dostojne, jak antyczne boginie. Kobiety Meštrovića są piękne, ale nie są ładne: proporcje ich ciał nie odpowiadają w niczem ideałom „nowoczesnej linji". To nie filigranowe cacka i nie salonowe „vampy", ale słowiańskie dziewice z ludu, przyszłe żony i matki bohaterów.

W twórczości Meštrovića poważne miejsce zajmują pomniki: pełno ich w miastach i miasteczkach Jugosławji, w szczególności w Dalmacji. Uderzają oryginalnością ujęcia, odbiegającą daleko od wszelkiego pomnikowego szablonu. Najbardziej frapujący jest pomnik Grzegorza z Ninu, obrońcy praw narodowego języka słowiańskiego przed łacińskim zalewem w X wieku. Stoi on na jednym z najpiękniejszych placów na świecie, w perystylu pałacu cesarza Djoklecjana przed katedrą w Splicie. Na zupełnie niskim postumencie wznosi się kolosalna postać z bronzu, monumentalna w swej prostocie, pełna wyrazu i siły. Biskup zdaje się przemawiać: w jednej ręce trzyma księgę, drugą wzniósł wysoko ponad głowę, gwałtownym gestem przydając wagi swym słowom. Słucha go na tym cichym placyku porfirowy sfinks nubijski, który strzegł niegdyś w mauzoleum sarkofagu Djoklecjana — słucha go średniowieczna smukła kampanila katedry i maleńka świątynia Jowisza, zamieniona na baptisterium. Historja i sztuka wszystkich wieków splotły się tutaj w jeden wspaniały, wymowny akord.

Wśród pomników nagrobnych Meštrovića, wyróżnia się doskonałością proporcji i harmonijnem zestrojeniem plastyki i architektury mauzoleum Racziców na Cawtacie. Pomnik ten jest zarazem harmonijnem zamknięciem religijnej twórczości artysty: poprzez bunt i rozpacz wiecznych pytań i szarpiących wątpliwości, dochodzi do ukojenia i pogodzenia się z życiem u progu śmierci. — To białe mauzoleum wznoszące się wśród żałobnej zieleni cyprysów na Cawtackiem wzgórzu, z którego widać błękitną muszlę zatoki i mury Dubrownika, to akt wiary triumfującej, wiążącej życie ziemskie z wiecznością poprzez próg śmierci, za którym czeka zmartwychwstanie!

Ciekawą grupę dzieł Meštrovića stanowią jego portrety: obok portretów imaginacyjnych, jak Goethego, Michała Anioła i Marka Marulića, pierwszego renesansowego poety chorwackiego, portretował Meštrović szereg współczesnych, jak króla Aleksandra, Masaryka, Emira Fejsala, Monsignora Bulica, dalmatyńskiego archeologa, odkrywcę ruin Salony i innych We wszystkich tych portretach uderza psychologiczne podejście do modela, dążenie do uchwycenia jego cech najistotniejszych i charakterystycznych.

Pobieżny już choćby przegląd dotychczasowego dorobku artystycznego Meštrovića pozwala nam zrozumieć olbrzymie uznanie, jakiem cieszy się on dzisiaj tak w Europie jak i w Ameryce. Wśród powodzi eksperymentatorów i efekciarzy, zaśmiecających dziś rynki artystyczne Europy, Meštrović wyróżnia się swą monumetalną prostotą, głębokiem ujmowaniem zagadnień formalnych i rozmachem swych plastycznych koncepcyj. — Ten uczeń Akademji Wiedeńskiej, potem Rodina i Maillola — potrafił przetrawić do gruntu rozliczne wzory i prądy artystyczne, nie popadając nigdy w niewolnicze naśladownictwo ani artystyczne doktrynerstwo. — Dziś Meštrović ma lat 56, jest więc u szczytu twórczości, wiele jeszcze możemy się po nim spodziewać. — Dotychczasową swą twórczość scharakteryzował pięknemi słowami: „...to wszystko to tylko notatki, szkice i studja, przygotowania do tego co zamierzałem... powiedzieć w doskonałej formie. Takie mam uczucie, że moje najpiękniejsze rzeźby zostaną nieodkryte w skałach stoków górskich i że na nich będą w słońcu odpoczywały orły..."

Cała dotychczasowa twórczość Meštrovića, to jedno szukanie i wytrwałe dążenie do własnego wyrazu. Jest w tem szukaniu niepokój wielkich duchów, które nie potrafią zadowolić się w niczem zewnętrznym pozorem,- jest żywiołowość i wewnętrzny dynamizm tych, których zamierzenia i cele obliczone są na miarę — wieczności!

Ewa Mieroszewska.



O KROK OD NIEBA...

UPIORY I WIDMA NA ZAWOŁANIE



„Zjawienie się ducha w przytułku dla starców" — obraz włoskiego malarza Federico Cusin.

Rozwój nauk ścisłych, znakomite wyniki, osiągnięte w tych dziedzinach wiedzy metodami doświadczalnemi, były niewątpliwie jedną z najważniejszych przyczyn, że również teren badań duszy ludzkiej, inaczej mówiąc psychologja stała się nauką doświadczalną. Istnieją dzisiaj badacze poważni, nie tylko zjawisk psychologicznych, które przywykliśmy nazywać normalnemi, ale także t. zw. „paranormalnych", niezwykłych i pozornie nie dających się wytłumaczyć i zupełnie zagadkowych. Otóż warto zapoznać się z pewnemi nowemi próbami ujęcia teoretycznego tych właśnie zjawisk „paranormalnych", a przynajmniej niektórych z nich, które to ujęcie teoretyczne ma wszelkie cechy rozumowania ścisłego, dającego się doświadczalnie skontrolować. Jeśli ta nowa teorja się utrzyma, to będzie ona zarazem poważnem wzbogaceniem wiedzy ludzkiej i wytłumaczeniem wielu naiwnych nieraz wierzeń i zabobonów.

Sądzimy, że Czytelników naszych zainteresują przedewszystkiem praktyczne przykłady zastosowania tej nowej teorji. Otóż została ona szczególnie rozwinięta w ostatnich 20 latach. Nazywa się ona teorją t. zw. „ejdetyzmu", a opracował ją głównie Eryk Jaensch w Marburgu. Dzisiaj zdobyła już tak wielkie uznanie, że spotykamy się z nią coraz częściej w czasopismach naukowych. Daje ona pewien pogląd naukowy na wierzenia w duchy i upiory. Ogólnie biorąc obejmuje ona całą dziedzinę „halucynacji", czyli t. zw. przywidzeń. Ileż to powieści i dramatów zostało osnutych na temacie upiorów i widziadeł! Jakże często zdarza się, że ludzie zupełnie trzeźwo myślący, wcale nie romantycznie usposobieni, mają pewne przywidzenia i są przekonani, że widzieli na własne oczy jakieś zdarzenia i osoby, których istnienie rzeczywiste jest conajmniej wątpliwe. Nie tylko dzieci, ale często i ludzie dorośli widzieli w jakimś starym opuszczonym domu ludzi, o których wiadomo było, że już nie żyją. Takie upiory miewają czasem kształty zupełnie podobne do tych, jakie posiadały za życia. Czasem zaś różnią się od nich w wielu szczegółach. Dr Schmeing opowiada w jednem zagranicznem czasopiśmie naukowem o przygodzie pewnego dorosłego mężczyzny, który bynajmniej nie był zabobonny. Człowiek ten szedł wieczorem przy księżycu przez las. W cieniu drzew zauważył jakąś idącą postać, podobną do pewnej znajomej sobie starszej osoby. Skoro widziana przez niego osoba weszła na polanę, oświetloną silnie światłem księżyca, zauważył on, że osoba ta nie rzuca cienia i wtedy uświadomił sobie, że jest to jakieś widziadło. Widział ją w odległości 3—4 m. Osoba szła dalej i co dziwniejsze, przeszła przez furtkę ogrodową zupełnie jej nie otwierając. Poprostu „przeniknęła" ją. W pewnej chwili osoba ta odwróciła się, a wtedy dopiero rozpoznał ów pan w niej listonosza, który już nie żył od kilku tygodni. Zjawisko zaczęło się wówczas niesamowicie zachowywać, weszło bowiem do domu poprostu wnikając w mur. Nic dziwnego, że w tej chwili ogarnął opowiadającego taki przestrach, że włosy dębem mu stanęły i „zwiał" z tego miejsca, co sił miał w nogach.

Oto klasyczny przykład takiego opowiadania o upiorach, które w różnych odmianach krążą po świecie i cytowane bywają na łamach różnych pism metapsychicznych. Wiarygodność opowiadania nie ulega zwykle żadnej wątpliwości. Osobnik ten rzeczywiście widział to zjawisko.

Czy dlatego, że zjawisko opisane jest nienormalne, mamy opowiadającego uważać za kłamcę? Już wspomnieliśmy, że jego prawdomówność nie ulega wątpliwości. On zjawisko to rzeczywiście widział, a ludzie są przyzwyczajeni do tego, że to, co widzą, uważają za rzeczywiste. Tymczasem możemy tu co najwyżej mówić o pewnym błędzie, a raczej omyłce w spostrzeganiu. Ale o omyłce „uczciwej". Ten sposób widzenia rzeczy nieistniejących nie jest właściwy wszystkim ludziom i tylko niektórzy mają tę zdolność „zaglądania do świata duchów" — powiada dr Schmeing. Szczególnie częste są tego rodzaju wizje o zmroku. Zwłaszcza częste są one u dzieci. Większość dzieci ma ejdetyczne zdolności, to jest widzi z otwartemi oczami to, co nieejdetycy potrafią sobie najwyżej wyobrazić. Dużo dzieci widzi rzeczywiście to wszystko, co ich fantazja wytworzy lub też, co tej fantazji zostało zapomocą bajek i opowiadań podsunięte. Niektóre dzieci potrafią z taką dokładnością widzieć przed sobą kartkę zeszytu lub książki, że z całą dokładnością mogą odczytać, co na tej kartce jest napisane, nie nauczywszy się zupełnie danego tekstu na pamięć. Dzieci o zmroku widzą rozmaite dzikie zwierzęta, żołnierzy i inne widziadła, będące ożywioną przez nich fantazją. Ta właśnie zdolność skonkretyzowania i zobjektywizowania wytworów swojej fantazji nazywa się ejdetyzmem. Danemu widziadłu nie odpowiada w rzeczywistości nic. W miejscu, w którem ejdetyk widzi jakąś osobę, nie ma nikogo. Te wszystkie duchy i upiory lęgną się w wyobraźni obserwującego. Są one przeważnie wyrazem chwilowego stanu fizyczno-psychicznego samego obserwatora. Przeżycia ejdetyczne nie ograniczają się wyłącznie do samych wrażeń wzrokowych, ale także i do innych wrażeń zmysłowych. — A więc nic dziwnego, że niektórzy niekiedy nietylko widzą ale i słyszą rozmawiające duchy. Wyobraźnia ejdytyka nie zawsze jednak wyposaża widziadło we wszystkie władze i zdolności normalnego człowieka. Często przyznaje mu tylko niektóre funkcje życiowe, czasem daje mu więcej zdolności, aniżeli posiada zwyczajny człowiek. Tem się tłumaczą rozmaite niesamowite szczegóły takich wizyj, jak n. p. brak cienia w wyżej przytoczonym przykładzie.

Prócz dzieci, ejdetykami są przeważnie poeci i artyści. Niektórzy z nich, zwłaszcza poeci i plastycy, widzą wyraźnie przed sobą osobę, którą potem odtwarzają w swym utworze lub na obrazie. O angielskim malarzu Blake opowiadają, że widział on z niepospolitą wyrazistością osobę, którą portretował z pamięci, siedzącą na krześle przed nim. Inni znów wirtuozowie fortepianowi n. p. widzą wyraźnie przed sobą nuty i grają z pamięci. Niektórzy ludzie potrafią na zawołanie „uruchomić" swoje zdolności ejdetyczne i widzieć lub słyszeć wyraźnie tego, o kim myślą.

Istnieje pewien przyrząd, zapomocą którego można wywoływać wizje nawet u nieejdetyków. Już w najdawniejszych czasach starożytnych używali wizjonerzy i magicy rozmaitych błyszczących przedmiotów, np. zwierciadeł, szlifowanych kamieni, kryształów, naczyń, napełnionych wodą lub oliwą do sztucznego wywoływania widziadeł. — Wpatrywali się oni lub ich medja w te przedmioty i tak intensywnie, że samorzutnie powstawały u nich różne wizje. Rozkwit tego sposobu wywoływania wizji nastał w wieku XVII, w którym zajmowali

się nim słynni uczeni. Nazywali się oni wówczas „specularii". Jeden z nich, matematyk John Dee pokazywał swój kamień magiczny w całej Europie. W psychologji doświadczalnej dopiero od niedawna zajmują się temi „krystalicznemi" wizjami, jak je nazywają. W latach 90-tych ubiegłego stulecia napisał francuski psychjatra i patopsycholog Piotr Janet pracę o tych halucynacjach, wywoływanych zapomocą zwierciadeł. Uczeni nazywają nieraz te przedmioty często „lewarem podświadomości", albowiem przy ich pomocy można wydobyć z człowieka to, co jest głęboko ukryte w jego duszy, nie przestępując progu świadomości. Niedawno temu przeprowadził z temi wizjami kryształowemi w psychologicznym instytucie uniwersytetu w Bonn Dr. Jan Bender niezwykle interesujące doświadczenia. Osoba badana znajdowała się w przyciemnionym pokoju; przed nią na tle wielkiej kotary umieszczona była kula szklana. Kulę tę można było bądźto oświetlać jednostajnie, albo też w ten sposób, że tworzyły się na niej różne refleksy. Zapomocą specjalnego mechanizmu, uruchamianego bez zwrócenia uwagi osoby badanej, można było kulę tę tak oświetlać, że wewnątrz niej powstawał rzeczywisty obraz jakiejś maski ludzkiej. Do urządzenia tego tajemniczego pokoju należał jeszcze aparat do utrwalenia głosu. W ten sposób można było odrazu utrwalić na płytach protokolarnie to wszystko, co badana osoba wypowiadała zupełnie bez zwrócenia jej uwagi. Dzięki temu można było otrzymać materjał do ciekawych badań. — W ten sam sposób można było sfilmować to. co rzeczywiście na kuli było widoczne, potem zaś skonfrontować wrażenia osoby badanej ze stanem faktycznym.

Tak więc otrzymano znakomitą metodę porównywania rzeczywistości z jej subjektywnem ujęciem przez najrozmaitszych ludzi. Wyniki badań, przeprowadzonych nad 65 dorosłymi i 25 chłopcami były wprost sensacyjne. Znaczna ilość badanych osób widziała w kuli obrazy plastyczne, fotografje lub akwarele, których tam wogóle nie było. Były to więc prawdziwe halucynacje ludzi normalnych, będących przy zupełnie zdrowych zmysłach. Niezwykle ciekawie przedstawiają się wyniki badań nad młodzieżą. Młodzi w odróżnieniu od starszych, nie traktowali wcale widzianych przez siebie zjawisk jako rzeczywiste. Zdawali oni sobie sprawę, że widzą wytwory swojej własnej fantazji, nie uważając tych obrazów za coś nadzwyczajnego — a jedynie za jeden obraz własnej fantazji. Byli to przeważnie ejdetycy, a więc uzdolnieni do takiego konkretyzowania swoich marzeń. Natomiast przeciwnie starsi, chociaż nie potrafili nawet przy zamkniętych oczach wytworzyć sobie konkretnego obrazu, widzianego przedtem przedmiotu, a więc nie byli ejdetykami, to jednak ta czarodziejska kula zdołała przemówić do ich fantazji i wywołać u nich wrażenia zupełnie ejdetyczne. Niektórzy widzieli obrazy ruchome, zmienne, całe zdarzenia, zwłaszcza gdy refleksy, wytworzone na kuli, rzeczywiście się poruszały, inni znów ujrzeli nieruchome grupy, mało zmienne. Jeden widział w tej kuli zawodnika olimpijskiego, który co chwili próbował startować do skoku, ale za każdym razem bez powodzenia. Niektórzy przypominali sobie, dzięki zjawiskom na kuli, takie zdarzenia ze swej młodości, o których dawno zapomnieli. Przeważna ilość dorosłych nie potrafiła odróżnić tego, co rzeczywiście kula przedstawiała od tego, co oni dostrzegali drogą wizji. Albo rzeczywistość i wizje były łącznie uważane za prawdziwe, albo też obie razem za złudzenie. Szczególnie przez tych, którzy zgóry przystępowali do badania z wątpliwościami. W ogólności wykazało to badanie, że uważanie czegoś za rzeczywiste, nie zależy wyłącznie od wrażenia zmysłowego, ale od samej osoby, spostrzegającej, jej sądów, afektów i psychicznego nastawienia. Zaszeregowanie rzeczywiście widzianych szczegółów w ogólną sytuację psychiczną, zależną wyłącznie od osobistego nastawienia, było szczególnie wyraźne u osób, niezdolnych zazwyczaj do halucynacji.

A teraz uprzytomnijmy sobie na chwilę konsekwencje tych spostrzeżeń. Iluż to świadków w sądzie jest przekonanych o tem, że na własne oczy widziało pewne rzeczy, które w rzeczywistości wogóle nie zaszły! Jak względnemi stają się nasze spostrzeżenia i nasze pewniki, opierające się na tychże spostrzeżeniach.

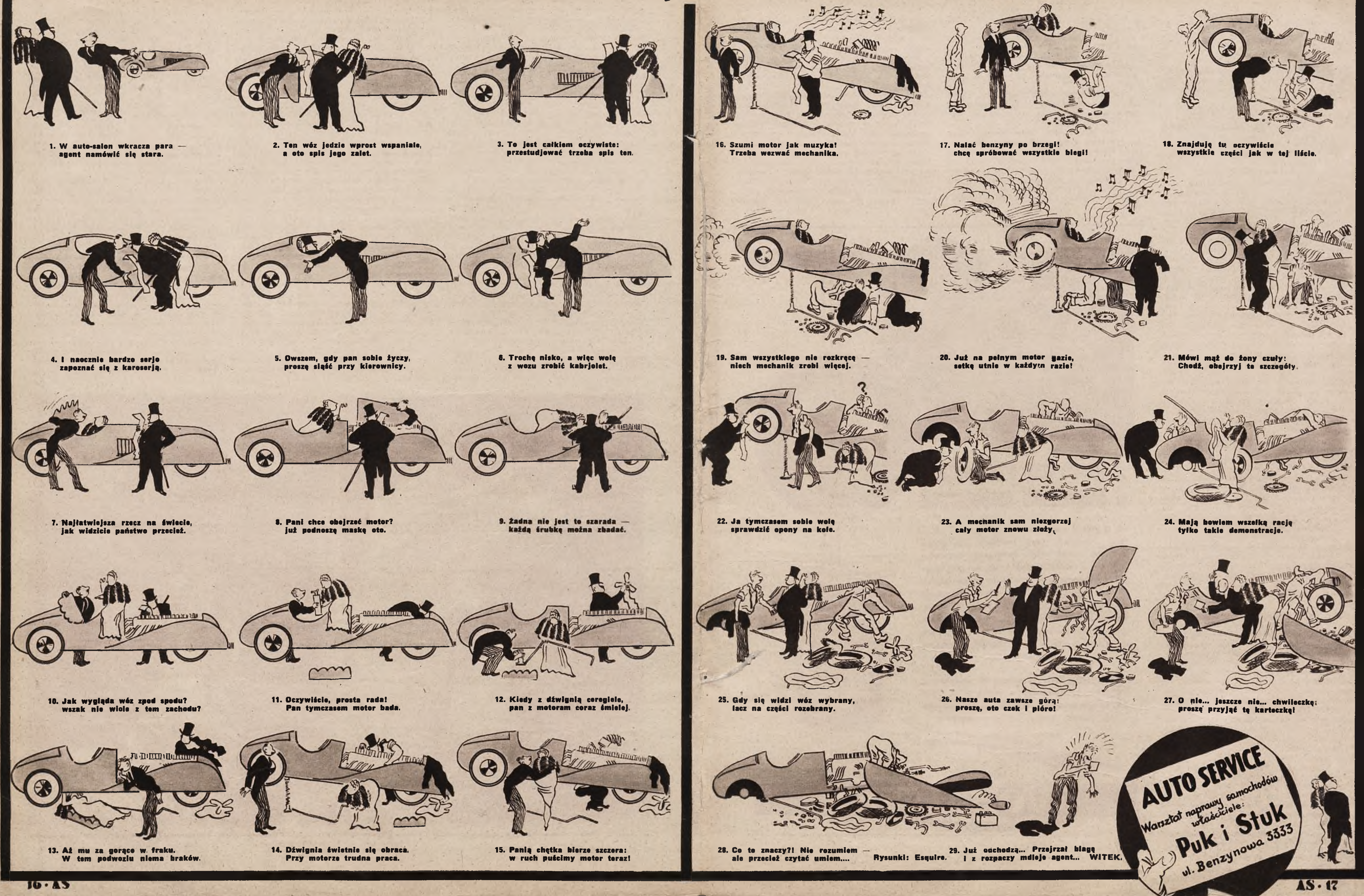
Ciekawa jest rzecz, że wszystkie osoby badane, z wyjątkiem młodzieży, nie miały zupełnie wrażenia, jakoby to, co widzieli, było wytworem ich własnej umysłowości. Tymczasem przy pomocy opisanego urządzenia ujawniła się cała otchłań duszy ludzkiej nietylko rozmaite szczegóły z życia tych ludzi, ale bardzo dużo podświadomych stanów, w danej chwili zupełnie dla osoby niedostępnych. Słusznie więc nazwano te kryształowe wizje „lewarem podświadomości". Technika wizyj kryształowych okazała się cennem narzędziem badania psychologicznego i doświadczeń psychologicznych, szczególnie dla celów lekarskich. Badania te mają także znaczenie ogólniejsze. Uświadamiają nam bowiem, że dużo naszych poglądów i wrażeń, które uważamy za objektywne, niezależne od naszego widzimisię, w gruncie rzeczy mają bardzo mało podstaw objetywnych i są w znacznej mierze przez nas samych wytworzone. **Inż. A.**





Oto dwie ciekawe fotografje migawkowe, zrobione podczas seansów spirytystycznych i uwidaczniające, na pierwszej, zjawę, na drugiej wydzielanie się teleplazmy w postaci gazy.

PAN PUK „KUPUJE" SAMOCHÓD...



(Dokończenie ze str. 10-tej).

czynność, skądżeby wziął czas na motyle! — zakończyła pulchniutka pani, śmiejąc się nieco zbyt silnie, jakby uważała swego gościa za bardzo naiwnego, skoro mógł przypuszczać, że Gaston miał czas na zbieranie motyli.

— A pan — zwróciła się po chwili do Doty'ego — pan zdaje się mieszka w Paryżu? I prowadzi pan jakąś perfumerję, która, podobno, jak mi ktoś tu mówił, wcale dobrze prosperuje?

— A tak, tak, jestem wcale zadowolony! — odrzekł Doty, który swą nową znajomą już sklasyfikował, jako małomiasteczkową kumoszkę, głupią i niezwykle męczącą.

— No, nie będę nadużywał pani uprzejmości i pożegnam się! — rzekł na pożegnanie.

Nie mogąc, z powodu nadchodzącej nocy, już nikogo i nic zobaczyć, poszedł do swego pokoju w hotelu, wyjął z kieszeni palta kilka gazet, położył się do łóżka i począł czytać.

— Jutro odwiedzę starych znajomych, popytam się, zobaczę dom, w którym się wychowałem — układał sobie plan.

Pierwsze jego kroki po wyjściu nazajutrz z hotelu, były skierowane do pani Andrieux, która za jego czasów miała skład z konfekcją damską, kapeluszami i bielizną. Była to stara znajoma, gdyż przyjaźniła się z jego matką, a ponadto posiadała piękną córkę Alicję, która była pierwszą miłością Andrzeja. Nie miał wprawdzie nadziei, że stara pani Andrieux jeszcze żyje, był jednak pewny, że zastanie Alicję, na której zresztą znacznie więcej mu zależało.

Idąc małą uliczką na „Place de la République", odżywały w jego pamięci drobne wydarzenia z ich wspólnych spacerów, wycieczki za miasto przy poświacie księżyca, ich miłosne przysięgi, pierwsze skradzione pocałunki i tyle jeszcze głupich a mimo to rozkosznych wspomnień, opromienionych urokiem młodości.

Sklep pani Vidal, gdyż tak zwała się obecnie panna Andrieux, był urządzony wcale pięknie i cieszył się, jak się zdawało, dużem powodzeniem w Crans.

Przy małym stoliku kładła młoda jeszcze, przystojna kobieta pasjansa. Doty, który w Paryżu przeżył niejedną przygodę miłosną, uczuł jakby pchnięcie w serce. — Alicja! — pomyślał. — Moja mała, piękna Alicja z przed dwudziestu pięciu lat!

— Przepraszam panią bardzo, że jej przeszkadzam, ale chodzi mi o pewną informację. Jestem kuzynem Andrzeja Doty, który dwadzieścia pięć lat temu opuścił to miasto Ja również dawno z tej okolicy wyjechałem, chciałem się więc dowiedzieć, gdzie on mieszka i co się z nim dzieje. Pani podobno go znała?

Pani Vidal uśmiechnęła się życzliwie.

— O tak, znałam go! Jako uczeń gimnazjum nieraz mnie odwiedzał, chodziliśmy na dalekie spacery! — Doty byłby swą dawną znajomą uściskał za jej dobrą pamięć. — A co się z nim dzieje? Wiem, proszę pana, że uciekł swego czasu z domu do Paryża. Podobno był szoferem czy robotnikiem, już tego nie wiem, ale obecnie, zdaje się, powodzi mu się dobrze Ma jakąś drogerję w Paryżu czy coś takiego. A nawet powiem panu, jest dosyć pomysłowy i sprytny: fabrykuje perfumy, które sprzedaje za drogie pieniądze. Ci paryżanie są tacy łatwowierni, że kupują byle co, gdy im się to da w pięknem opakowaniu.

— A skąd pani wie, że to nic nie warte? — zapytał z złośliwym uśmiechem.

— No chyba! Chłopiec który nawet nie skończył gimnazjum, zapewne nie jest zbyt uczony, a do tego przecież potrzeba nauki i doświadczenia. Miły był ten Andrzej, ale skończony leń i niepoń!

Już cisnęły mu się słowa „a wspominapani te spacery w świetle księżyca, te gorące pocałunki, te przysięgi, które pani składał?", ale powstrzymał przypływ swego rozczulenia. Po co odgrzebywać stare dzieje, które i tak już są skończone i nie mają dalszego ciągu?

— Podobno uciekł z Crans, nocą, porzucił rodziców? — Czy to prawda?

— Tak, uderzyły mu do głowy jakieś powieści Juljusza Verne czy „bujdy" detektywistyczne! — zaśmiała się piękna pani Vidal.

— A może chciał być pjonierem, chciał znaleźć własną ścieżkę życia, chciał pokazać wszystkim, że i on coś wart? Nie myśli pani?

— Ale gdzież tam, drogi panie! Gdyby pan go znał, byłby mi pan przyznał rację, że to tylko dziwny przypadek.. Nic więcej, tylko przypadek... Miał szczęście i tyle!

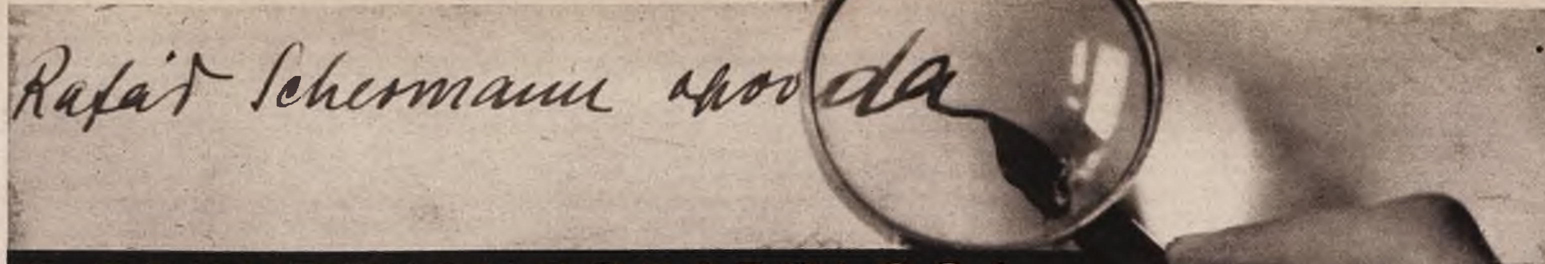
Opuścił głowę. Przypadek! Miał szczęście! Może! Może jego sukcesy to tylko szczęśliwy numer, który wyszedł na loterji życia? A wtedy wszystko, z czego był dumny, byłoby złudą..

Wstał i pożegnał panią Vidal. Wbrew zwyczajom, ucałował jej rękę. Rękę swej Alicji!

Wyszedł ze składu oszołomiony. Nie wiedział, dokąd iść. Zobaczyć dom, w którym się urodził? Zapytać o starą właścicielkę składu papieru? Pójść na cmentarz?

Powrócił do hotelu, zapłacił za pokój, spakował swą małą walizkę i wyszedł przed hotel. Pociąg odjeżdżał w stronę Paryża za pół godziny.

Gdy wolnym krokiem, zamyślony przemierzał peron małej stacji, jakiś ponury spokój opanował Andrzeja. Za kilka godzin będzie znów w Paryżu, otoczony swemi sprawami, interesami, sukcesami, uznaniem. Będzie pracował nad tem, aby jeszcze posunąć się o krok naprzód, być jeszcze bogatszym i sławniejszym. W Crans jednak i tak nikt o tem nie będzie mówił poważnie. On dla nich pozostał tym chłopcem, który uciekł nocą, bo szukał nadzwyczajnych przygód w guście Juljusza Verne czy Karola May'a.





Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

W ten sposób kupiec budapeszteński znalazł się w niezwykle przykrem położeniu. Nie mogąc nic wskórać, powrócił do domu i zwrócił się o radę do jednego z adwokatów, który uważał sprawę za beznadziejną i odmówił swej interwencji. Jako jedyne wyjście, poradził klientowi, aby się do mnie zwrócił. Przybywszy do Wiednia, kupiec budapeszteński przedłożył mi podpis swego przyjaciela oraz próbkę pisma sekretarki, która była obecna przy umowie. Pan H. przypuszczał, że sekretarka, w razie skargi, zezna jako świadek, że nic o umowie nie wie, ja natomiast uspokoiłem go, że przeciwnie, nie złoży ona żadnych z prawdą niezgodnych zeznań. Pismo jej wykazywało wielką pobożność i wyrażało uczciwy charakter. Pismo natomiast przyjaciela mego klienta zdradzało charakter gwałtowny, człowieka twardego, który nie mówi normalnym tonem, lecz najchętniej krzyczy, aby ludzi zastraszyć.

— Radzę panu zwrócić się ponownie do swego adwokata i zaskarżyć pańskiego przyjaciela. Jestem pewny, że proces wypadnie dla pana szczęśliwie, a mianowicie z następujących powodów: przyjaciel pański jest chory na serce i posiada wysokie ciśnienie krwi. Gdy będzie miał zeznawać przed sądem, popadnie w stan niezwykłego rozdrażnienia, to też z powodu swego cierpienia sercowego nie będzie mógł wytrzymać napięcia nerwów i załamie się. Doszedłszy do stanu normalnego zwróci się do pana z prośbą, aby pan zechciał z nim załatwić tę sprawę w sądzie polubownym.

Usłyszawszy moje słowa, klient opuścił moje mieszkanie, a 9 października 1935 r. otrzymałem od niego następujący list:

„Kilka miesięcy temu omawiałem z panem niezwykle ważną dla mnie sprawę skargi przeciwko mojemu byłemu koledze. Oświadczył mi pan wtedy, że pewność siebie mego przeciwnika skończy się na sali sądowej. Zapewne pana zaciekawi, gdy panu powiem, że w chwili, kiedy mój przeciwnik miał być przesłuchany, stracił panowanie nad sobą i załamał się. Następnie zwrócił się z prośbą o polubowne załatwienie sprawy".

W pewien czas później klient mój znów zgłosił się u mnie, przedkładając mi list swego przyjaciela, w którym prosi on go o cofnięcie skargi. Oglądając podpis autora listu, stwierdziłem, że jego choroba sercowa poczyniła duże postępy właśnie w związku z tą sprawą.

— Podczas przesłuchania sądu polubownego przyjaciel pański znów się załamie, gdyż serce jego silnie jest nadwyrężone. Dostanie on ataku serca i poprosi pana, aby mógł załatwić spór w cztery oczy z panem.

I to spełniło się co do joty, gdyż pod datą 8 listopada 1935, otrzymałem znów list następującej treści:

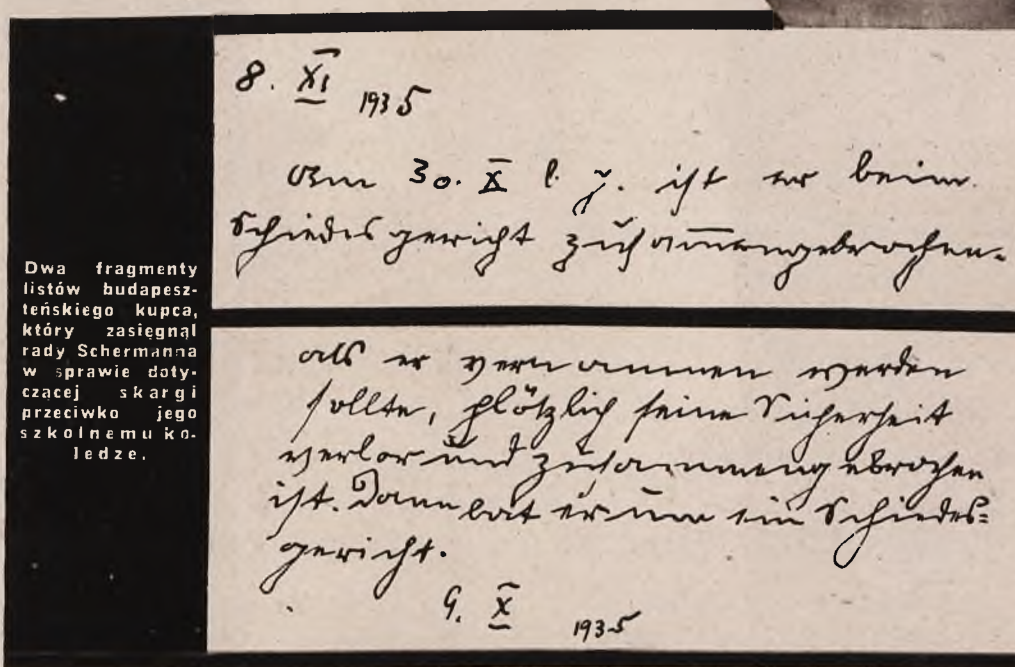
„Gdy rozmawialiśmy po raz ostatni, twierdził pan, że mój przeciwnik również podczas zeznań przed sądem polubownym nie zdoła utrzymać spokoju i podlegnie atakowi serca. Stało się to w dniu 30 października br. Po tym incydencie prosił mnie, aby mógł sprawę załatwić ze mną osobiście bez udziału trzecich osób. Wkrótce, mam nadzieję, dojdzie do ostatecznego załatwienia tej sprawy.

* * *

Przeszłość i przyszłość w świetle psychografologji.

Podczas mego pobytu w Ameryce, podjął się znany w obu częściach świata autor nowojorski Eugenjusz S Bagger prowadzenia protokołu moich prac dla koncernu prasowego „World". M. in. napisał on pracę p. t. „Schermann w Ameryce", którą zacytuję w urywkach.

„Już od samego początku pobyt Schermanna w Ameryce zamienił się w pochód triumfalny, gdyż Ameryka była dojrzała do jego przyjęcia, chociaż musiał, przybywszy do Nowego Świata, zdobyć kilka fortec sceptycyzmu, co mu się zresztą udało. — W Ameryce, jak wszędzie indziej, są dziennikarze znudzonymi, zblazowanymi i obojętnymi ludźmi, którzy wychodzą z założenia, że cały świat opiera się na fałszu i „bujdzie", to też prasa nowojorska wysłała na przyjęcie Schermanna oddział dziennikarzy, uzbrojonych w bomby satyry i strzały sceptycyzmu, aby niemi unieszkodliwić przybysza.



Dwa fragmenty listów budapeszteńskiego kupca, który zasięgnął rady Schermanna w sprawie dotyczącej skargi przeciwko jego szkolnemu koledze.

Już jednak na pierwszem posiedzeniu udało się Schermannowi zdobyć zaufanie i wiarę tych niedowiarków. Gdy Schermann, zmęczony podróżą i pod wrażeniem nowego otoczenia, nerwowy i w złem usposobieniu, popełnił na wstępie omyłkę, wzbudziło to zaufanie dziennikarzy, gdyż wykluczało wszelkiego rodzaju ukartowanie seansu. Obecny na seansie autor amerykański oświadczył też, że Schermann jest chyba uczciwym psychografologiem, gdyż oszuka niec lepiejby zorganizował swoje tricki. — Seans odbył się w „Coffee House Club", do którego należą liczni literaci, dziennikarze, artyści. Jest to jeden z najbardziej ekskluzywnych klubów i kandydaci na członków nie mogą się tam zgłaszać celem przyjęcia, lecz muszą być wybrani jednogłośnie bez swego przyczynienia się. Nastrój był od początku dla Schermanna nieprzychylny, to też starano się zdemaskować europejskiego „fakira". Na początku Schermann analizował pisma kilku obecnych, zyskując pewne uznanie, ale nie budząc entuzjazmu. Antypatja zmieniła się wnet w obojętne uznanie. Podczas seansu przedłożono Schermannowi kartkę papieru, zapisaną na maszynie, na której małe poprawki zrobione były ręcznie. Podpis był zaklejony. Schermann począł robić swoje uwagi o piśmie w języku niemieckim, a ja tłumaczyłem je na język angielski.

„Człowiek ten jest bardzo popularny, wybitny, jest świetnym mówcą, zapalonym myśliwym, ale również dobrym autorem i posiada wspaniałe uzębienie. Życie jego jest niezwykle ruchliwe i pełne wysiłku". Tłumaczyłem zdanie po zdaniu na angielskie, a wyrażenie „pełne wysiłków" przetłumaczyłem słowem „strenuous". Gdy wymówiłem je, wybuchły okrzyki entuzjazmu. Większość obecnych poza mną zresztą wiedziała, że kartka przedłożona Schermannowi nosiła na sobie kilka słów odręcznie skreślonych przez zmarłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Teodora Roosevelta. Wszystkie określenia Schermanna zgadzały się z całą

dokładnością, a również wspaniałe uzębienie należało przecież do żelaznego repertuaru karykaturzystów, rysujących prezydenta.

W kilka dni później ukazały się we wszystkich pismach nowojorskich sążniste artykuły, stwierdzające, że Schermann jest wyjątkowem zjawiskiem. Przytaczały one fakt rekonstrukcji pięciu podpisów, który wydarzył się w klubie. Schermannowi bowiem pokazano obrazy, zakrywając sygnaturę artysty, a on po obejrzeniu obrazów skonstruował podpisy ich twórców. Od tej chwili sława Schermanna została ugruntowana. Tysiące ludzi zgłaszało się do niego do hotelu Waldorf Astoria, który musiał przyjąć osobną telefonistkę, mającą za zadanie oświadczać telefonującym osobom, że „mr. Schermann is busy" (p. Schermann jest zajęty).

Wkrótce potem nastąpiły inne „egzamina" w różnych towarzystwach i na prywatnych zebraniach. Tak np. nowojorska „Academy of medicine", wydelegowała sześciu swoich najwybitniejszych członków, z zawodu psychjatrów, celem zbadania Schermanna. — Umieszczono go pod dozorem w pokoju, do którego tylko ja miałem dostęp jako tłumacz. Wprowadzono pięciu chorych do pokoju, którzy w obecności Schermanna skreślili kilka słów jako materjał psychografologiczny. Djagnozy postawione przez Schermanna zostały następnie porównane z djagnozami specjalistów-lekarzy. Komitet urządzający te badania, zaproszeni goście i reporterzy znajdowali się w przylegającym hallu.

Nigdy nie widziałem Schermanna bardziej zdenerwowanego jak wtedy. Przypuszczałem, że próba skończy się zupełnem fiaskiem, natomiast dała ona pełny sukces. Wystarczyło mu spojrzeć na pismo i zaraz podawał z zimną pewnością siebie djagnozę. Brzmiały one np.: o pewnej kobiecie wyraził się, że ma chorobę cukrową, co się zresztą zgadzało. O innej osobie, której nie widział na oczy, a jedynie jej pismo, zawyrokował, że posiada niezwykle silne ciśnienie krwi, co zresztą również było słuszne. Po chwili do pokoju wszedł apoplektycznie wyglądający starzec, o niezwykle nieszczęśliwym wyglądzie. Schermann badał jego pismo dłużej i dokładniej, niż zwykle i oświadczył wkońcu:

— Temu panu wogóle nic nie dolega!

— Ale niech pan się dobrze zastanowi, co pan mówi — zauważył lekarz. Schermann jednak ponownie z dziwnym uporem powtarzał swoją poprzednią djagnozę. Byłem przekonany, że tym razem europejski psychografolog „wpadł" po same uszy. Co się jednak okazało? Djagnoza lekarza domowego „pacjenta" brzmiała: „Pan X., 74 lata, cieszy się pełnem zdrowie i przez całe życie nie chorował ani jednego dnia. Codziennie gra w tenisa i jeździ konno". Gdy odczytywano tę djagnozę, młodzieniec o siwych włosach potwierdzał z zadowoleniem jej słowa.



Fragment Nowego Jorku: olbrzymi gmach firmy Woolworth.

Najciekawszym bezwątpienia był ostatni wypadek. Do pokoju wszedł blady, nieszczęśliwie wyglądający młody inżynier, z którego pisma Schermann wywnioskował odrazu, że cierpi na chorobę weneryczną. Gdy otwarto kopertę z djagnozą lekarską okazało się, że medycyna oficjalna uważa go za typowego gruźlika. Wiedza oficjalna triumfowała, ale odezwał się również głos wybitnego nowojorskiego lekarza, który powiedział, że stwierdzone cierpienie płucne bynajmniej nie wyklucza utajonej choroby wenerycznej. Mimo pewnego oporu ze strony chorego poddano go na miejscu badaniu, które potwierdziło postawioną przez Schermanna djagnozę.

Rezultat wszystkich tych badań wykazał 90 procent trafnych odpowiedzi czyli o 19 procent więcej, niż zdołał stwierdzić jeden z najwybitniejszych autorów, piszących o Schermannie, prof. Oskar Fischer z Pragi.

Wiele jeszcze możnaby zacytować podobnych wypadków, ale ograniczę się tylko jeszcze do jednego. Schermann znalazł się wraz ze mną na kolacji u pewnego wybitnego amerykańskiego autora p. Will Irwina. Poza państwem domu, Schermannem i mną były jeszcze obecne dwa małżeństwa z San Francisko, należące do sfer dziennikarskich, major P. oraz pewien inżynier z Nowego Jorku ze swemi małżonkami. Po kolacji, podczas gdy Schermann rozmawiał z paniami, pan domu zabrał mnie i majora P. do drugiego pokoju i rzekł:

— Na ścianie pokoju, w którym siedzi Schermann, wisi mały portret, który jest autoportretem mojego dziadka, żyjącego w 50-tych latach zeszłego stulecia w Bostonie. Z obrazem tym łączy się dosyć tajemnicza historja. Otóż pewnego dnia przybił mój dziadek do drzwi swego atelier z kartką z napisem: „Wrócę zaraz", następnie zaś wyszedł z domu i więcej nie wrócił. Nie dostaliśmy już więcej żadnej o nim wiadomości, tak, że po dziś dzień nie wiemy co się z nim stało. Zamierzam więc zapytać Schermanna, czy może mi coś powiedzieć o moim dziadku.

— Uważam, że byłoby lepiej, gdyby pan poprostu pokazał obraz Shermannowi i zaczekał co on o tem powie.

Rada moja została przyjęta i przeszliśmy do salonu, w którym wisiał portret. Pan domu zdjął go ze ściany, wręczył go Shermannowi i zapytał go, co może o nim powiedzieć. Schermann przyglądał się dłuższy czas malowidłu i wkońcu począł mówić, przyciszonym głosem, ale dobitnie.

— Trudno mi bardzo mówić o tej sprawie. Coś chwyta mnie za gardło. Widzę przed sobą tego człowieka, jest on genjalny, wielkoduszny, ale niezwykle smutny. Z obrazem łączy się jakaś straszna tragedja. Pewnego dnia opuścił on dom, przeklął świat i zmarniał.

Pan Irwin, stojący na środku pokoju w pobliżu Schermanna, chwycił się za głowę i jęknął „Mój Boże!"

Przypominam sobie dokładnie tę scenę: wszyscy przysłuchiwali się tej niesamowitej rozmowie bladzi jak płótno. Jedna z pań poczęła histerycznie płakać, ale Schermann nie skończył jeszcze swej opowieści:

— Człowiek ten musiał walczyć z wszelkiego rodzaju przeciwnościami materjalnemi. Przed śmiercią przeklął jeszcze kobietę, która zatruła jego życie.

— To była moja babka — rzekł ponuro pan domu.

— Człowiek ten był malarzem, nieprawdaż? — pytał Schermann. Ale nie tylko malarzem, był też literatem. Może poetą? Napisał coś, co pozostanie na wieczne czasy.

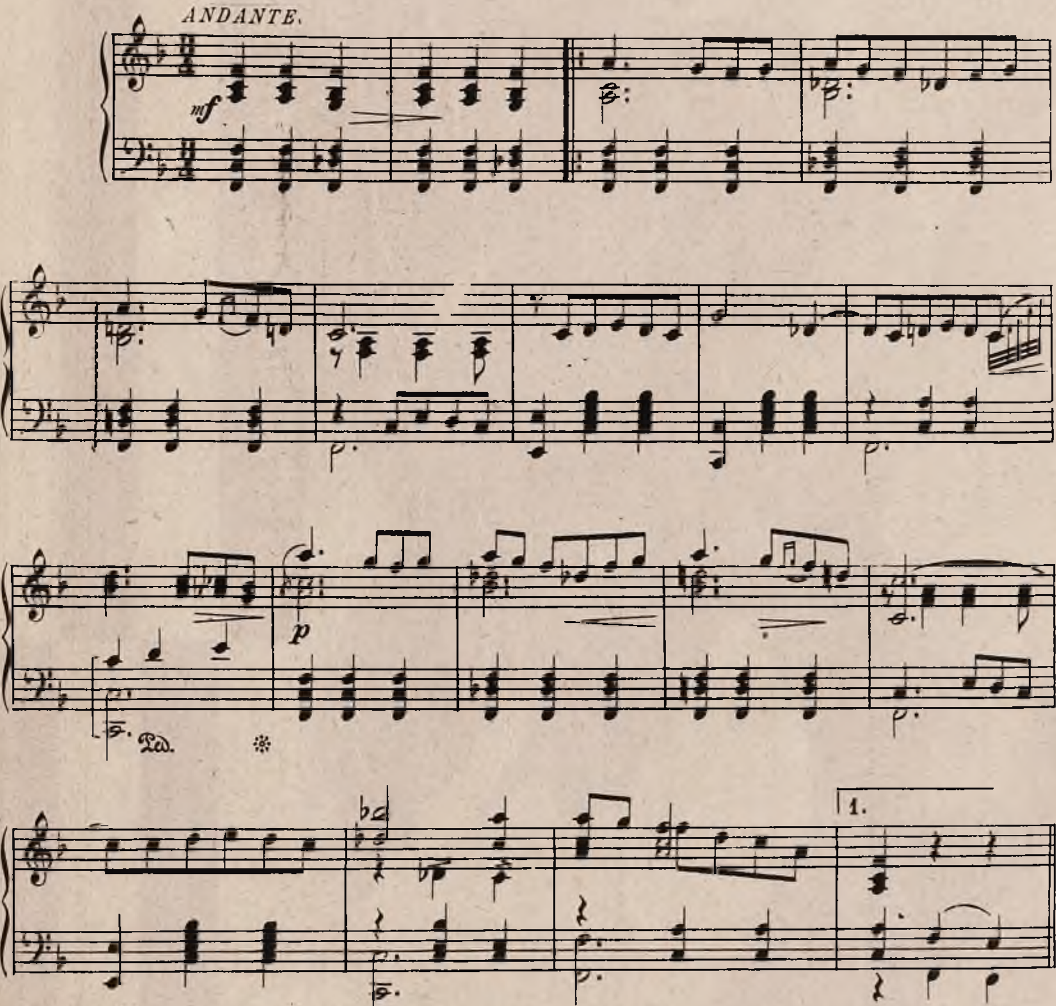
— I to się zgadza — przyznał pan domu. Mój dziadek był pisarzem i to wielkim pisarzem. I napisał rzeczywiście dzieło, które pozostanie w historji Stanów Zjednoczonych. Jest to pierwszy traktat napisany przeciwko niewolnictwu. *(ciąg dalszy nastąpi).*

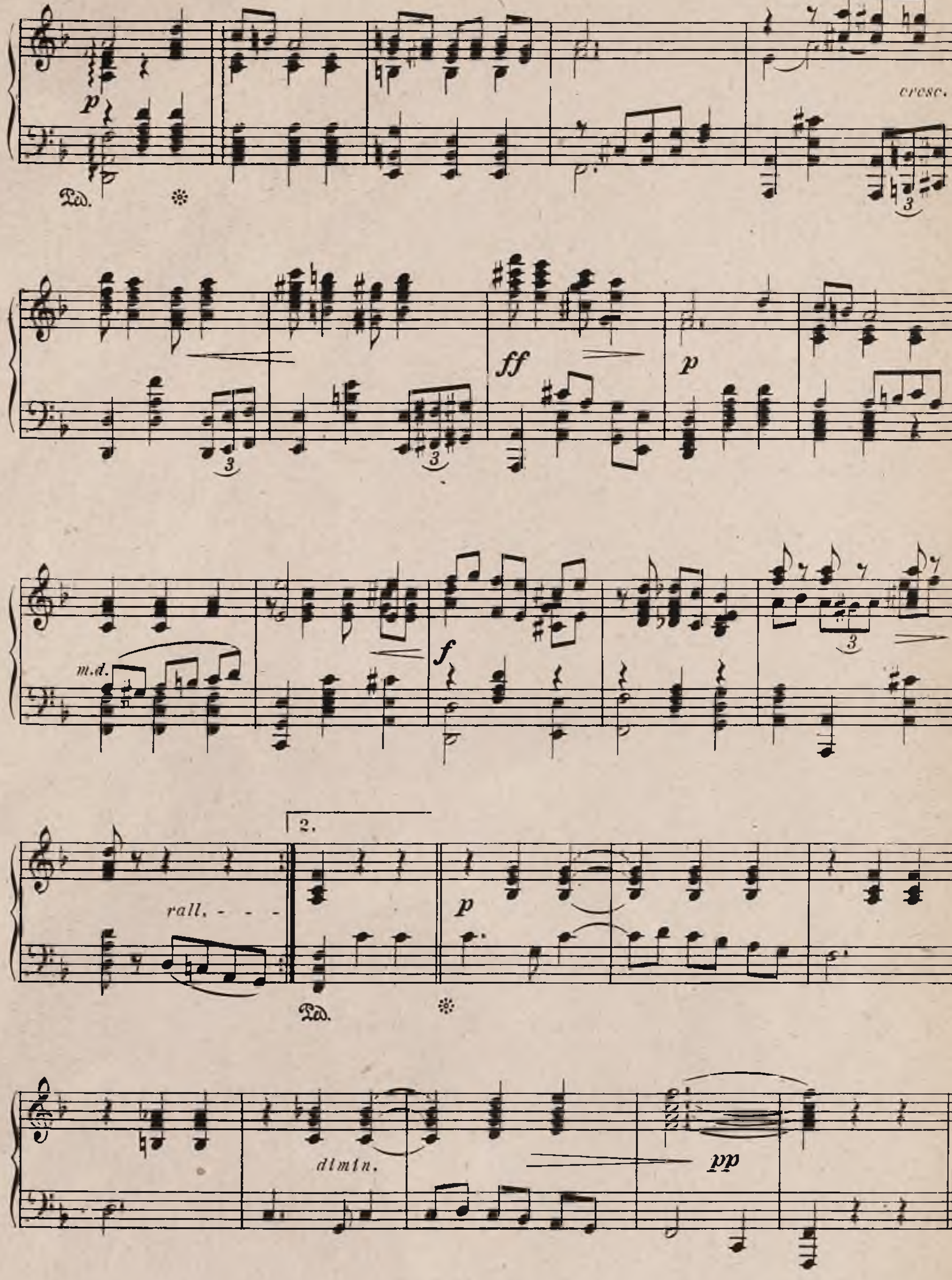


DOŚĆ ODPOCZYNKU! MORZE CZEKA NA RUSAŁKI!
Fot. H. v. Perckhammer

Walc melancholijny

LEON PILECKI





Legenda

NOWELA

TEODOZJA LISIEWICZ

— No, a teraz opowiadaj — powiedział chłopiec, sadowiąc się wygodnie na dużej otomanie.

W rogu, oparta o zniszczone nieco poduszki, królowała nad gromadą dzieci matka. Było ich troje. Dziewczyna już podrastająca, dziwne smutne stworzenie o smutnych oczach, jak na swoje lata zbyt wysoka, zbyt blada, ale mocna i zdrowa. Wrażenie tylko robiła chorowite przez te duże, smutne, jakby nieinteligentne oczy. A wszyscy czworo, oczy mieli jednakowe; nawet roześmiane smuciły się na pucołowatej, nabitej twarzyczce ośmioletniego chłopaka, który to tak zachęcał matkę do opowiadania — przyćmiewały smutkiem obwisłe, tęgie policzki dwunastoletniej dziewczyny, która wtulając się obok matki w poduszki otomany, cicho, ale stanowczo wypychała z nich sadowiącego się brata. Nawet z pod ciężkich, jakby leniwych powiek matki wybiegało to wspólne im wszystkim spojrzenie, na pół ludzkie, na pół zwierzęce. Ciemne, wielkie, nieruchome oczy i nieco przydługie policzki były charakterystyczną cechą tych czworga, znacząc ich twarze silną przynależnością do jednego, mocnego pnia. Gdyby pochodzenie swoje zawdzięczali któremuś z rodów panujących, z pewnością w historji wieków szukanoby wspólnych im rysów na portretach, rozrzuconych po galerjach, muzeach i bibljotekach. Sądząc po typie, mogliby nawet uchodzić za potomków jakichś Sforzów czy Aragończyków. Ale nie wiedzieli nawet o tem. Poprostu mówiło się tylko, że chłopak podobny jest do siostry, siostra do matki, a druga jakby była portretem babki z jej lat bardzo młodych, co dziewczynę, nie wiadomo dlaczego, napawało poczuciem dumy. Portret wisiał w jadalni i przedstawiał panienkę w białej sukience z niebieskim paskiem. Uśmiechnięta spoglądała parą ciemnych, smutnych, jakby bezmyślnych oczu. Policzki miała lekko obwisłe i śniade.

W niedzielę popołudniu zbierali się wszyscy razem tu, na otomanie. Był to dzień święty, uświęcony tradycją, z którego żadne z nich by nie zrezygnowało. Jeden dzień, kiedy matka nie szła do biura, dzieci nie przygotowywały lekcyj, kiedy można było spokojnie o jednej, wczesnej godzinie zasiąść wspólnie do obiadu, a obiad nie był ani wystygły, ani odgrzewany. Poprostu był obiadem, właśnie takim, jaki zapewne jadano codzień wtedy, kiedy to jeszcze... Tylko matka i najstarsza dziewczyna pamiętają te czasy, ale dziewczyna jak przez mgłę, a z biegiem lat mgła ta czyniła się coraz gęstsza i coraz szczelniej zasnuwała horyzont dzieciństwa.

Wtenczas to, w niedzielne popołudnie, w tem kole padało imię ojca. Nigdy w ciągu tygodnia, nigdy w dzień szary, spracowany, jakby nie chcąc, by znaczenie tego wielkiego słowa, choć przez samo zetknięcie z codziennością miało stracić coś ze swej bezcennej wartości.

Pierwszy rzucił je raz chłopiec. Jeszcze przed trzema laty. Był już na tyle duży i na tyle zdawał sobie sprawę z tego, co widział i słyszał — że zapytał o ojca. Matka znalazła się w przykrem położeniu. Niespodziane pytanie zaskoczyło ją. Sądziła, że nigdy nie padnie ono tu, w ich kole. Przyzwyczaiła się już do myśli, że o tym ojcu, który istniał dla nich kiedyś, nigdy się nie mówi, jakby przez pewną wstydliwość, cichą umowę — tak, jak powoli przestało się pamiętać. Nawet dzieci swoim wyglądem, spojrzeniem, ruchami niczem go nie przypominały. Wszystkie są podobne do siebie, do niej, do babki z jej strony, tak, że z tego ojca nic między nimi nie zostało — gdyby nie to pytanie...

Ale od tej pory zaczęto o nim mówić. I powoli, powoli, rozmowy te nabrały olbrzymiego, pierwszorzędnego znaczenia. Początkowo — to prawda — matce przychodziły z trudem — plątały się jej jakieś fakty, ostrożna była w powtarzaniu już raz opowiadanych, uważać musiała, by wszystkie były zgodne, ale stopniowo tak przywykła do nich, jak do tych niedziel i stopniowo też postać zapomnianego męża, ojca, wywołana z pozornego niebytu pytaniem syna, zaczęła urastać, rozjaśniać się, promieniować wszystkiemi zaletami, jakie mógłby mieć wzorowy mąż, wzorowy ojciec, gdyby takim był i — rzeczywiście umarł.

I zaczęły się te nieskończone, długie rozmowy, to z historji jego życia, to studjów, to wspólnego domu z tych czasów, kiedy to obiady jadano o wczesnej porze i razem, przy stole. Potem przyszła kolej na wydarzenia smutne i weselsze, potem na drobiazgi, jego przyzwyczajenia, powiedzenia i tak dalej, dalej — ciągnące się jedne za drugiemi. Aż tematu nie stawało. Więc przeskoczono lata całe wstecz i znaleziono nieprzebrane bogactwo w jego dzieciństwie. Skąd matka je znała? O to żadne z nich już nie pytało, nie zastanawiało się nąd tem tak, jak nie zastanawiała się ona sama. Zatem ciągnęło się przez jakiś czas dzieciństwo tak barwne, tak bliskie temu chłopcu ośmioletniemu, tak zajmujące dla tej drugiej młodszej dziewczyny, podobnej do portretu babki o bezmyślnych oczach, że nawet starsza, zbyt wysoka, zbyt blada, małomówna, jakby z uzasadnioną nieufnością odnosząca się do opowieści matki, rozruszała się, zaciekawiła.

I z biegiem czasu, matka stworzyła dzieciom obraz, jakiego pragnęły — świetlana postać, która często staje się przewodnią w życiu młodych. W imię której uchyla się od zła, dąży ku dobremu, jakby instynktownie wybierając kierunek, jaki wybrałby ojciec, gdyby szedł razem z nimi. W imię pamięci której, ponosi się wielkie ofiary — by dojść do małego wyniku, ale sumienie ma się spokojne, myśl zrównoważoną, radosne bicie serca i głębokie przekonanie, że On postąpiłby podobnie, gdyby... I sama nawet nie wiedziała, jak chwilami wierzyła w tę postać, w minione pożycie, w ten ich dom wspólny, który z takim trudem podtrzymuje dopiero ona...

— No, a teraz opowiadaj — powiedział chłopiec, wgramoliwszy się na poduszki.

Mała poprawiła sukienkę, przykryła nią nogi, skuliła w sobie i czekała wpatrzona w matkę. Starsza, siedząc na wałku od tapczanu, przestała machać zbyt długiemi nogami, odzianemi w popielate pończochy i bu-

ciki na płaskich obcasach. Dzieciom, mimo ciężkich warunków, nie wolno było nosić tandety.

Matka, wtulona w kąt tapczanu, patrzyła z pod ciężkich powiek przed siebie, na czysto wymyte okno. Przez okno widziała wzgórza pokryte młodą, delikatną zielenią, wielki szmat nieba jasnego, po którem z jednej tylko strony wyszedł na niedzielną przechadzkę biały, gęsty, przyciężki obłok. Część wzgórza leżała w popołudniowym cieniu, część jaśniała od bladego, wiosennego słońca. To przywiodło jej na myśl, że tam, na tych wzgórzach podmiejskich jest wesoło i swobodnie. Że powietrze kryjące w sobie jeszcze chłód zimy, zmieszane jest z zapachem rozwilgotnionej ziemi i młodych soczystych pędów. Że dobrze jest przechadzać się pod temi drzewami — i zaczęła:

— Pamiętam raz, było właśnie takie samo niedzielne popołudnie, jak dziś. Zjedliśmy obiad w trójkę, to znaczy tatuś, ja, ty miałaś wtenczas cztery latka i siedziałaś z nami przy stole, a ty trzy i jadałaś w drugim pokoju z nianią.

— A gdzie ja wtenczas byłem?

Matka uśmiechnęła się.

— Ciebie jeszcze wtenczas nie było na świecie, synku!... Zaraz po obiedzie — a wesoło było przy stole, jak zawsze! — tatuś powiedział, że chce iść ze mną na spacer. Miałam wielką ochotę, ale trudno było, bo to i niania i kucharcia miały wolne, musiałam w domu przy dzieciach zostać, więc powiedziałam, żeby tatuś sam poszedł — cóż będzie w domu siedział! Ale tatuś, jak to tatuś, sami wiecie, nawet słyszeć o tem nie chciał, tylko kazał mi się ubierać, sam ubrał was obie, małą zapakował do wózeczka i dalejże na spacer! Pamiętam... — mówiła głosem spokojnym, równym, ale czuć było w nim jakąś nutę rzewną, ni to smutku, ni błogiego wspominku — przeszliśmy tędy, bokiem, potem główną aleją i skręciliśmy tam, na te wzgórza — wyciągnęła rękę ku oknu i oczy wszystkich trojga za ręką tą powędrowały. — A było tak, jak dziś. Wczesna wiosna i drzewa pokryte pączkami. Szłam, trzymając ciebie za rączkę, a tatuś szedł obok i popychał wózek. Opowiadał, że jak był małym chłopcem, zrywał zawsze takie młode pączki i rozgryzał i myślał, że zaraz stamtąd wyskoczy kwiatek! jak na sprężynie!

Wszyscy roześmiali się, prócz najstarszej dziewczyny. Matka śmiała się tak serdecznie, tak szczerze, jak gdyby prawdziwy obraz tego popołudnia raz na zawsze zatarł się jej w pamięci, a został tylko ten, o jakim mówiła.

— — — — — — — — —

...tak, było popołudnie niedzielne, takie jak dzisiaj. Po obiedzie, zjedzonym w milczeniu, bo był to już okres, kiedy mąż prawie nie odzywał się do niej, po tym obiedzie, który przez gardło ledwie przechodził, zapytała nieśmiało, czy zechciałby pójść z nią na spacer. Z nią i z dziećmi. Wzruszył tylko ramionami i bez słowa wyszedł do drugiego pokoju. Westchnęła cichutko, przygarnęła do siebie starszą kapryszącą i chustką okryła młodszą, śpiącą tu, na tym tapczanie. A on chodził po drugim pokoju i chodził, jak po klatce. Zawsze w ich małem mieszkaniu czuł się, jak w więzieniu. Zawsze rzucał się jak zamknięty. Zawsze i wszędzie, bo nawet z ulicy, gdzie rwał się każdej godziny, wracał zniechęcony, zły, opryskliwy. Pokoje małe mu były i ciasne, obmierzłe jak dom i miasto, a miasto jak wszystko, co go otaczało. Gnało go gdzieś i gnało, tam daleko, o czem czyta się w książkach, widzi na obrazkach. Tego chciał, za tem tęsknił — a tu żona i tych troje... na razie dwoje, wisiało u nóg ciężarem jak kamienie. A ona mówi jeszcze o spacerze!... Potem wypadł do przedpokoju i nic. Usłyszała tylko trzask drzwi wchodowych i dudnienie szybkich kroków po schodach. Poszedł. Nawet się nie odezwał, nie powiedział kiedy wróci. Trzask drzwi obudził małą, zaczęła grymasić. W domu

Na prawo: Książę i księżna Norfolk na torze wyścigowym w Epsom.



Derby

WIELKI DZIEŃ HIGH-LIFE'U

Na prawo: „Gentlemani w popielatych cylindrach" jadą na derby w tradycyjnych koczach...



Poniżej: Panowie z angielskiego high-life'u pojawiają się na turfie wyłącznie w żakiecie i popielatym cylindrze.



Życie międzynarodowego high-life'u zdąża od dawna po utartych szlakach. Zależnie od pory roku zmienią się tylko kierunek jego fali. Jesienią, gdy nastają chłody, zdąża ono na Południe — z wiosną rozpoczyna się ciąg „rajskich ptaków" ludzkości na Północ. I tak od wielu lat w pierwszym wypadku ośrodkiem tego życia staje się słoneczna Riwiera, w drugim zaś uroczne fjordy Norwegji, do których dociera się po długiej, jakże nęcącej podróży morskiej.

Na tych wielkich szlakach istnieją liczne przystanki, skupiające high-life w okresach przejściowych, między jesienną i wiosenną turą podróżną. Zimą są to słynne stacje klimatyczne Szwajcarji, gdzie wszystko żyje pod znakiem nart, — latem modne plaże nadmorskie i śródlądowe nad brzegami jezior jak z bajki.

Ale myliłby się ten, ktoby sądził, iż życie t. zw. wielkiego świata, omija miasta i ich uciechy. W bogatym programie całorocznych „zajęć" high-life'u, znajdzie się zawsze dosyć miejsca na wykorzystanie atrakcyj sezonu miejskiego. Wśród nich niemałą rolę odgrywają — szczególnie w Anglji i we Francji — wyścigi konne.

Jest nie do pomyślenia, by rasowy Anglik nie znalazł się na turfie w Epsom, gdy rozgrywa się tam wielki bieg — Derby. Owego dnia, po wszystkich drogach, zdążających do Epsom, sunie dosłownie lawina przeróżnych pojazdów. Komuś, kto nigdy Anglji nie oglądał, widok tych wehikułów mógłby snadnie przypominać jakiś pokaz środków lokomocji, od zamierzchłych czasów, aż po dzień dzisiejszy. Tymczasem dla Anglika jest to chleb powszedni. Ulice Londynu roją się od tych dziwacznych pojazdów. Wypływa to z silnie zakorzenionego konserwatyzmu, który skłania Anglika do używania np. samochodu już dawno niemodnego, lub charakterystycznego kocza, jakim jeździli jego pradziadowie. Ma to swój swoisty styl i urok, nierozerwalnie związany z życiem Albionu.

Wracamy do Epsom. Tam prócz staromodnych koczów, które wielu służą jednocześnie za ruchome trybuny na turfie, wszystko inne stanowi nowoczesne ramy dla przepysznego, barwnego bukietu angielskiej society. A więc przedewszystkiem piękne panie i ich wyszukane stroje. Tu każda pragnie błyszczeć i zaćmić blaskiem urody i szyku swe rywalki, które znów ze swej strony dokładają starań, by nie pozostać w tyle. Wygodnie rozparte w lożach rozłożystych trybun, niby kwiaty rozrzucone w kryształach po etażerkach salonu-olbrzyma, to znów stojące na dachach szeregu niekończących się pojazdów, jak polne kwiaty — wszystkie one przyciągają uwagę tłumu, który nim odezwie się dzwon startera, faluje wokół zabudowań stajen i totalizatora.

A mężczyźni? Czy można o nich powiedzieć, że są kąkolem na tej kwiecistej łące? Przypatrzmy się im bliżej. Na pierwszy rzut oka uderza nas pewien standard w ich strojach, przejawiający się przedewszystkiem w ogólnie noszonym popielatym cylindrze. Takie nakrycie głowy, ogromnie twarzowe, choć ze względu na swą jednolitość posiadające charakter już „mundurowy", kontrastuje świetnie z ciemnem ubraniem żakietowem, które pozostało nieodłącznem zjawiskiem turfu.

„Panowie w popielatych cylindrach" — gentlemani z Epsom i Ascot, stali się też nie od wczoraj dla wszystkich wielkich skupowisk high-life'u niedoścignionym wzorem elegancji, namiętnie naśladowanym przez bywalców torów w Longchamps i Auteuil, w Freudenau i Karlshorst. Tylko, że te wysiłki nie wszędzie idą w parze z możliwością uzyskania pozytywnych wyników. Dlaczego tak się dzieje? Czy poza Anglją nie-



Powyżej: Faworyt wyścigu Derby słynny „Blue Peter" mija celownik o trzy długości przed „Fox Cub" i „Heliopolis".

ma eleganckich mężczyzn? Odpowiedź potwierdzająca mogłaby niejednego w błąd wprowadzić. Tu trzeba rozróżnić elegancję j e d n o s t e k, jaką wszędzie obserwujemy w skromnych dawkach, od elegancji Brytyjczyków, objawiającej się masowo, a więc temsamem, dominującej w obrazie jakiejś publicznej imprezy.

Tajemnica szyku angielskiego tkwi już w usposobieniu i charakterze mieszkańców Albionu, a więc przedewszystkiem w ich ogromnej swobodzie bycia, którą często mylnie osądza się jako nonszalancję w traktowaniu np. cudzoziemców. Ta swoboda jest gdzieindziej cechą charakterystyczną tylko wybranych, o których się mówi, że „w ich żyłach płynie krew błękitna", a więc ludzi rasowych, których mentalność przepojona jest przeświadczeniem o wyłącznem dysponowaniu prawem spoglądania „z góry" na świat i jego sprawy. W Anglji to przeświadczenie wpaja się dzieciom od kołyski i to nietylko tym, których inicjały zdobi korona. Dlatego więc można mówić w odniesieniu do Anglji o tego rodzaju psychice w znaczeniu narodowem. Nie trzeba podkreślać, że wypływa ona z dominującej roli Wielkiej B r y t a n j i na świecie.

Derby w Epsom, podobnie, jak wyścigi w Ascot, a na kontynencie przedewszystkiem w A u t e u i l i L o n g c h a m p s, są dla pań z towarzystwa podobnym terenem przeżyć, jak dla mężczyzn np. zaciszne sale klubowe, lub do pewnego stopnia kuluary giełdy i parlamentu. I tu i tam krzyżują się najbardziej ciekawe ploteczki, następuje wymiana zaproszeń, snuje się nić projektów na najbliższe dni „wypoczynkowe". Pozatem turf jest jeszcze dla możnych tego świata terenem specjalnych emocyj, które tylko im są dostępne. Tam bowiem odbywa się faktyczny wyścig ich stajen, ich faworytów, nietyle o zdobycie czę-sto znacznej nagrody pieniężnej, ile o palmę pierwszeństwa na torze i co za tem idzie w opinji publicznej. O zajęciu pierwszego miejsca w tym wyścigu decyduje rzecz prosta posiadanie odpowiedniej liczby pierwszorzędnych koni. Nic prostszego, jak je kupić za bajońskie sumy. Ale nie o to chodzi. Tytułem do prawdziwego zadowolenia i pełnego sukcesu staje się dopiero zwycięstwo konia własnego chowu i treningu. — Panie przeżywają te emocje na równi z mężczyznami i wówczas często zapominają o tem, że muszą i na turfie pozostać kwiatami, które powinny być dla płci brzydkiej ponętniejsze od najbardziej ponętnych banknotów funtowych totalizatora.

el.



Moda, obowiązująca na turfie, uległa w ciągu lat znacznym przemianom. Przypatrzmy się, jak bardzo różni się strój lorda Rosebery, prowadzącego swego zwycięskiego konia „Blue Peter" (na prawo), od dressu gentlemana, idącego obok wytwornej damy w tak modnym swego czasu krótkim płaszczu i jasnym melonie (poniżej).



panowała cisza nie do wytrzymania; przecież została z dziećmi zupełnie sama na całe, długie, niedzielne popołudnie. Na pobliskich wzgórzach kładły się jasne plamy słońca, drzewa rzucały długie, niebieskawe cienie... Nie! Zerwała się, ubrała siebie, dzieci, z trudem zniosła wózek po schodach i wyszła. Zawsze miała w sobie pewien żywy zasób energji, który później dopiero, gdy stał się wszystkiem co posiadała, przerodził się w siłę samą.

...przeszła główną aleją, skręciła na wzgórza. Pogodnie tu było, radośnie, coś ćwierkało między gałęziami, wołało. Ludzie siedzieli sobie na ławkach, to leżeli na płaszczach na wilgotnej ziemi. Całe rodziny, mąż, żona i dzieci. Przy końcu bocznej alejki całowało się jakiś dwoje... Preclarz sprzedawał precle i lemonjadę. Wesoło, niedzielnie. Aż żal prześwidrował jej serce na widok jakiegoś ojca, pomagającego żonie pchać wózek dziecinny. Prędko poszła dalej. Pot ściekał jej z czoła, co chwila tchu brakowało, ale pięła się z wózkiem w górę alejki. Potem na zakręcie spotkała jakieś roześmiane towarzystwo. Jej mąż był z nimi i usłyszała drwiący tonik jego kolegi — jedynego, jakiego znała:

— „...niechże pan pomoże, przecież to pańska żona z dzieciakami, jeżeli się nie mylę...".

...nie widziała, nie słyszała, nie poznała. Szła przed siebie. I było dużo śmiechu i wołania, ale już malało, zostało w tyle, za nią, tak prędko, tak bardzo prędko chciała być najdalej od tych spotkanych. Mąż dogonił ją, był czerwony i tylko złość w sobie przytłumiał, która jednak od czasu do czasu wybuchała krótkiem, złem słowem. Milczała, była bardziej onieśmielona tem co widziała, bardziej przerażona, niżby to jej miało sprawić przykrość. Zresztą do przykrości już się przyzwyczaiła...

...potem usiadła na ławce, nie mogła iść dalej. Wiatr porozwiewał jakieś brudne, stare gazety i naniósł je aż tu, pod ławkę. Wtenczas widziała, jak mąż nachylił się nad jedną z nich i utkwił wzrok na jakiejś pomiętej ilustracji. Myślała, że tak, ze złości, żeby nic nie mówić. Na ilustracji było kilka wysokich palm i daleko płynął okręt po morzu...

...powoli schodzili na dół. Żeby lepiej utrzymać toczący się wózek, musiała się przegiąć w tył. I tak szli. Mąż, powiedział jej, że kompromituje go swoim wyglądem. Była w piątym miesiącu przed urodzeniem chłopca...

— — — — — — — — —

— Ojciec kochał was bardzo — snuła dalej spokojnym głosem — i zawsze cieszył się na myśl, że jeżeli kiedyś będziemy mieli synka, to on z nim, gdy dorośnie, będzie chodził na spacery, do ogrodu, w pole, będzie mu pokazywał różne kwiatki, drzewa i te pączki, które rozgryzał i co ten synek na to powie! —

Znów zaśmiali się jasno, bo chłopak, jak to zawsze, coś tam dopowiedział.

— — — — — — — — —

...nieprawda! jaka nieprawda! Klął na czem świat stoi, gdy dowiedział się, że znów za kilka miesięcy, nowe dziecko... A tamtych starszych nie lubił. Nudziły go i były dowodem więzów jakie nosił. Poco się żenił? sam nie wiedział. Ot, stało się, widać na mózg padło... ale trudno wytrzymać.

— — — — — — — — —

— No i co dalej? — nalegał chłopak.

— Ach... co dalej?... zerwałam dwa pączki i dałam tatusiowi, żeby rozgryzł. Bardzo mnie to bawiło. Ale tatuś rozgniewał się — naturalnie łagodnie, jak to on zawsze — powiedział, że młodych pączków rwać nie powinnam.

— — — — — — — — —

...ile to razy sam rwał na spacerach i żuł bezmyślnie, ile razy idąc, ścinał laską trawy, nowe pędy — ot tak, aby krzywdę wyrządzić, tę złość, która w nim wciąż nurtowała, wyładować...

— — — — — — — — —

— Bo przez to niszczy się drzewa — kończyła — przez to sprawia się drzewom ból!

— Ból? to drzewo może coś boleć? — pytał zdziwiony chłopiec.

— Tak. Każde drzewo, każdy kwiatek czuje tak, jak ludzie. Może nawet więcej, niż ludzie, bo człowiek wszystko przetrzyma, a kwiat więdnie.

— I co mamusiu? co dalej? —

— Ojciec miał rację. On zawsze miał rację. Tak pamiętał o wszystkiem. dbał, żeby nikomu krzywda żadna się nie stała, żeby bólu nie sprawić, a cóż dopiero kwiatom! Bo kwiaty, to jak mamusia i dzieci, mawiał.

— — — — — — — — —

...dziś już ledwie pamiętała ten straszny ból, jaki ją przeszył nawskroś, przez mózg, przez serce i podciął osłabłe po urodzeniu chłopca kolana, gdy czytała list... Że wyjechał, że może nie wróci, że jeżeli chce, niech czeka na niego, ale lepiej — nie czeka... Że kiedyś pieniądze przyśle, ale teraz niech radzi sobie jak umie — niema. A na drogę mieć musi. Zebrała się więc mocno i zaczęła pracować. List schowała. Może kiedyś się przyda, gdy wróci... Ale jak jednego dnia, już potem, długo potem, otrzymała wiadomość, że nigdy, nigdy, że tam mu dobrze,, że ma dom, rodzinę — widać lepszą od tej, którą zostawił, widać bliższą — list podarła i spaliła, żeby nawet skrawek nie wpadł w dziecinne, kiedyś dorosłe ręce. Ale trzeba przyznać, że pieniądze przysłał i obiecał przysyłać, tylko dzieciom miała powiedzieć co chce, byle o nim nic nie wiedziały. Jak on tych dzieci nie lubił! aż dziwne... Więc powiedziała, że umarł.

I tak jednego dnia przestał istnieć — ich ojciec! jakby go nigdy nie było. Dopiero po tylu latach, podczas jednego niedzielnego popołudnia, gdy siedzieli razem skupieni na matczynym tapczanie, ożył w pytaniu syna. Z jednego rzuconego słowa zarysowała się sylwetka coraz to mocniejsza, coraz wyraźniejsza, aż stała się człowiekiem, jak materjalizacja zjawy. Na jego nieistniejącej mogile wyrosła legenda, jaka miała się stać przewodnią, wytyczną w życiu tych trojka — legenda o dobrym ojcu.

— — — — — — — — —

Teraz już mrok zapadał. Przyległe wzgórza zasnuły się mgłą i cieniem, który rozlewał się powoli szerzej i szerzej, narastał, aż dotarł do tego pokoju na górze na trzeciem piętrze, gdzie wszyscy czworo przytuleni do siebie siedzieli na tapczanie. Nad tym tapczanie zawisł jak sepia. Tu znalazł główne siedlisko i stąd rozpełzł się po meblach, podłodze, zasnuł sobą kolory, zamazał kontury. Do sufitu białego tylko nie dorastał.

A tych czworo siedziało w mroku koło siebie, zagłębiało się w nim, pogrążało, jak w poduszki tapczanu. Milczeli. A przecież każde myślało o tem samem. Matka, o tym towarzyszu, przyjacielu, jakiego nigdy w swojem biednem życiu nie zaznała, a przy którym tak słodko byłoby odpocząć, oprzeć się na nim, zaufać. Dwoje młodszych z dziecinną pasją i fantazją przeżywało po raz wtóry te słoneczne chwile, jakie, gdy byli jeszcze mali, nigdy nie wychodziły z ich mieszkania. Tylko myśli najstarszej dziewczyny, która przecież wtenczas miała już cztery lata, błąkały się lękliwe i niepewne i coraz bardziej stawały się podobne do mroku, jaki zasnuwał każdą jasną plamę. Były coraz smutniejsze i zamknięte w sobie.

Potem matka wstała i zapaliła światło. Zaraz zrobiło się weselej, codzienniej, dzieci zaczęły paplać — urok niedzieli mijał. Podała herbatę, bo późno już było, a służąca wracała aż gdzieś wieczorem.

Gdy zasiedli przy dużym jadalnym stole, który służył im również za biurka i odrabiano przy nim lekcje, chłopak sięgając po nakrajaną bułkę, zapytał nagle:

— A bułeczkę słodką z rodzynkami tatuś lubił? —

Czy lubił? Matka aż pojaśniała.

— Ależ tak! Lubił, bardzo lubił! całą mógł zjeść, gdy była w domu świeża — zawołała.

I na samo wspomnienie uśmiechnęła się, jakby promień słońca padł na jej zasmucone serce. Tym razem i zbyt wysoka, blada dziewczyna uśmiechnęła się razem z matką. Przecież wtenczas miała już cztery lata...

A matka promieniała. Prawda to była, szczera prawda, jaką mogła dzieciom powiedzieć. Tak, ten mąż kiedyś istniejący naprawdę lubił słodką bułkę, jaką w domu piekła. I zaraz zasępiła się, zakłopotała. Czy tam, gdzieś daleko, gdzie są wysokie palmy i morze, a domy stoją na palach i wszystkie są białe, czy tam w którymś z tych białych domów podają mu do stołu taką bułkę słodką z rodzynkami, jaką tu dostawał? A jeżeli podają, to może gorszą, inną, już nie taką, jak ta — domowa. Zamyśliła się. Jeżeli gorszą, to... może wtenczas choć wspomni o niej, o jej domu, o dzieciach? Przecież tę bułkę zawsze bardzo lubił!

Zresztą trudno było się teraz zastanawiać, bo młodsza dziewczyna poprosiła o mleko do herbaty, a niewiadomo czy było, czy zostało co jeszcze w spiżarni, czy też przy śniadaniu już wszystko wypili. Litr mleka dziennie na czworo — to jednak bardzo mało. Ale cóż robić.



„Balet Smolińskiej" przed Casino de la Jetée w Nicei.

Poniżej: Tancerki baletu Smolińskiej w strojach krakowskich na promenadzie w Nicei.

Zdjęcia: Manuel -- Paryż.



Balet Smolińskiej



Zosia Walczakówna w tańcu orjentalnym.



Janinka Rybikowska w „Umierającym Łabędziu".

W nicejskiem Casino de la Jetée zbiera oklaski polski „Balet Smolińskiej". Nazwa tego zespołu figuruje i błyszczy, jako czołowa atrakcja programu rewji, wystawionej w Kasynie, o czem możemy się przekonać na podstawie zdjęcia tancerek Smolińskiej (wraz z ich kierowniczką) na tle gmachu kasyna nicejskiego.

Na Jasnym Brzegu tancerki polskie cieszą się wielkiem powodzeniem publiczności i prasy, czego wyrazem liczne a pochlebne recenzje, wywiady i fotografje, zamieszczane w prasie francuskiej. Jeden z recenzentów pisze: „W chwili, gdy więzy przyjaźni między Francją a Polską zaciskają się coraz mocniej — te balety, które przemierzają całą Francę, przyczynią się do spotęgowania naszych uczuć dla Polski".

Francuzi oceniają niezmiernie życzliwie działalność artystyczną świetnej tancerki, Janiny Smolińskiej, jak również jej owocną pracę pedagogiczną, która daje pierwszorzędne rezultaty. Smolińska wychowuje w swym zespole tak utalentowane a młode siły, jak Zofja Walczakówna, Janina Rybikowska.

Wśród numerów, które zdobyły szczególne powodzenie należy wymienić niezmiernie efektowny „Taniec motyli", pełen temperamentu mazur, nowoczesny walc. Niemałą atrakcją dla cudzoziemców są polskie kostjumy ludowe w numerach o charakterze krajowym.

Balet Smolińskiej udaje się obecnie na tournée artystyczne, którego końcowym etapem będzie wystawa nowojorska. **J. J.**



w tej dziedzinie coraz to ładniejsze i praktyczniejsze nowości. Dalekie jesteśmy od ponurych, nietwarzowych przedwojennych płaszczy gumowych w brzydkim kolorze khaki. Dziś nawet w najbrzydszą pogodę moda pozwala nam wyglądać elegancko i ładnie.

Jeśli nie odpowiada nam czysto sportowy typ płaszczy „Burberry", możemy wybrać płaszcz impregnowany z białego jedwabiu, albo kolorowy z ślicznego mieniącego się jedwabiu, który jest tak misternie impregnowany, że nie traci ani trochę swego połysku i miękości. Mamy też do dyspozycji szykowne płaszcze w szkocką kratę, lub dużą pepitę i zabawne okrycia z cienkiego celofanu w najrozmaitszych kolorach. Te ostatnie są może praktyczne przez swoją lekkość, ale ich papierowy szeleszczący wygląd, robi raczej nieprzyjemne wrażenie. Ładne i wygodne są natomiast parasole z celofanu, barwne, lekkie i przeźroczyste, co — przy chodzeniu z otwartym parasolem w dużym ruchu ulicznym — pozwala unikać nieprzyjemnych zderzeń.

Jeśli mowa o parasolu, tym dziś tak modnym nawet w polityce użytkowym przedmiocie, to trzeba podkreślić, że i on

Na lewo: Podczas chłodnych dni chętnie wkładamy pod lekki płaszcz nieprzemakalny cieplejszy komplet z jersey'u. Fot. C. Anders, Paryż.

Poniżej: Sportowa suknia z lekkiej szkockiej wełny — spódniczka plisowana. — Fot. Imre v. Santho.



Gdy w lecie jest zimno i pada deszcz...

Wiele osób popełnia ten błąd, że stosuje swój strój wyłącznie do kalendarza, nie licząc się zupełnie z tem, co pokazuje termometr. Nie jest to ani celowe, ani zdrowe, ani nawet eleganckie. Dosyć dziwnie wygląda się na ulicy w jasnym, czysto letnim płóciennym kostjumie i białej panamie, gdy niebo jest pokryte chmurami, a termometr pokazuje zaledwie 18 stopni. Strój taki nie jest wtedy na miejscu, nawet, choćby to była pełnia lata. Tak samo strój taki będzie niestosowny w najcieplejszy nawet dzień w końcu września czy października, gdy sezon jesienny wymaga już stroju nieco ciemniejszego i „solidniejszego".

Tak, jak każda pora roku i każda pora dnia, tak i każda pogoda wymaga stosownego ubrania. Kompletując garderobę letnią, nie bądźmy zbytnio optymistkami i pamiętajmy, że w naszym klimacie nawet w pełni lata trafiają się ulewne deszcze, chmurne bezsłoneczne dnie, a nawet porządne chłody, wymagające ciepłego okrycia.

W dżdżystą pogodę nieocenione usługi oddają nam impregnowane płaszcze i peleryny z jedwabiu lub celofanu. Z każdym rokiem pojawiają się

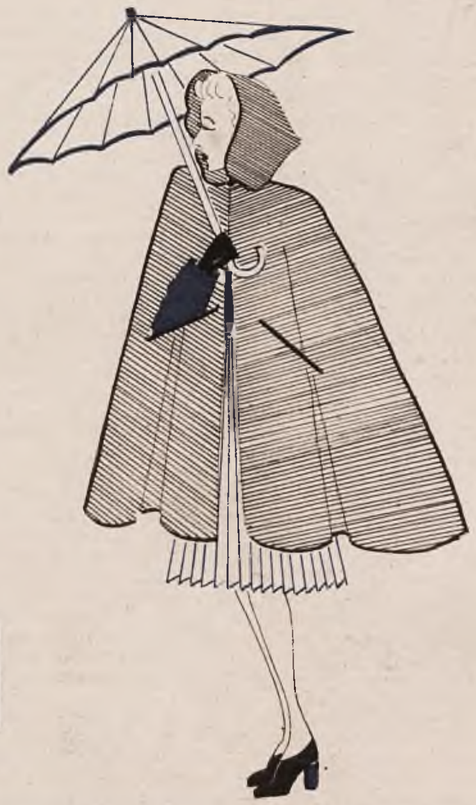
stara się dostosować do dzisiejszej modnej linji: wydłużył się i zeszczuplał, dawne zaś krótkie i grube rączki zastąpił dłuższą laseczką z cienkiego bambusa, zagiętą na końcu jak męska laska.

Na dnie deszczowe i chłodne, pod nieprzemakalny płaszcz czy pelerynę musimy mieć kilka cieplejszych sukienek czy kostjumów. Najodpowiedniejsze będą lekkie wełny w szkocką kratę lub paski, lub też jersey'e, niezastąpione, jeśli chodzi o praktyczność, a to dlatego, ponieważ się zupełnie nie mną. Krój takiej sportowej sukienki pod płaszcz nieprzemakalny jest prosty, spódniczka lekko poszerzona fałdami, rękawy krótkie. Chętnie są też noszone w tym roku tzw. jumpery, t. zn. komplety dwuczęściowe, złożone ze spódnicy i dłuższego kazaku z paskiem. Możemy je zastąpić kompletem trzyczęściowym, a mianowicie spódnicą, bluzką i sportową kamizelką z materjału spódnicy, lub też z zamszu w odmiennym kolorze. Nosi się też kamizelki z rękawami, wtedy przody są z materji wełnianej lub zamszu, plecy zaś i rękawy z ręcznego trykotu, na bardzo chłodne dnie z wełny angorowej w odmiennym kolorze. Taką kamizelkę łatwo można sobie zrobić z resztki materjału, pozostałej z roboty kostjumu czy płaszcza sportowego. Można ją potem nosić na chłodne dnie do kostjumu, z którym tworzy ładną i elegancką całość.

W naszym klimacie wełniany angielski kostjum jest strojem, z którym się nie rozstajemy nawet w lecie, nietylko na wiosnę i w jesieni. W tym roku moda faworyzuje go wybitnie kosztem płaszcza. Rozmaitość jest przytem ogromna: modne są zarówno kostjumy jasne, jak i ciemne, z wełny jednobarwnej, jak i wzorzystej, o żakietach dłuższych poniżej linji bioder sięgających, jak też i całkiem krótkich. W lecie nosimy chętnie kostjumy z lżejszej wełny, wśród których najmodniejsze są śliczne i praktyczne angielskie flanele gładkie i w paski w różnych odcieniach popielatych, piaskowych i stalowo-niebieskich.

Lady Like.





Na prawo: Na ulewny deszcz najodpowiedniejszą jest peleryna gumowa lub celofanowa z kapiszonem. Rys. Ewa Leo.

Na lewo: Praktyczne są płaszcze nieprzemakalne z kapiszonami, osłaniającymi szczelnie fryzurę. — Rys. Ewa Leo.



Elegancki „trench" z białej impregnowanej gabardiny — parasolka z celofanu. — Fot. Scotty Welbourne.



Biały jedwabny deszczowiec z barwnym kołnierzem, wiązanym, jak szarfa. — Fot. Georges Saad.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA MÓŻDŻKOWA (z kuchni djetetycznej): Oparzony wrzątkiem móżdżek, oczyszcza się z błon i żyłek, następnie dusi na troszce masła z dodatkiem łyżki siekanej zielonej pietruszki. Czerstwy rożek kraje się w płatki, kropi masłem i suszy w piecyku; zrumieniony zesypuje się do garnuszka, dodaje uduszony i posiekany móżdżek, zalewa wszystko rosołem, nagotowanym z kości cielęcych lub mięsa i włoszczyzny i gotuje razem przez pół godziny. Zupę można podawać przefasowaną przez sito i podprawioną żółtkiem lub też rozrzedzoną rosołem do odpowiedniej gęstości. Można tę zupę podać bez żadnych innych dodatków.

JAJA W SOSIE RAVIGOTTE. 8 jaj gotuje się przez 3 minuty i przekłada z gorącej wody, w której się gotowały, do zimnej. Dobrze ostudzone obiera się ostrożnie i odkłada. Jedno surowe i jedno gotowane żółtko, rozciera się z troszką soli i octu, następnie dolewa się kroplami 10 dkg oliwy. Powstały stąd gęsty majonez rozprowadza się silnym bulionem lub rosołem, dodaje octu, wedle smaku, po szczypcie: soli, cukru i pieprzu białego oraz łyżeczkę musztardy krymskiej lub roztartą miałko sardelę. Dużą główkę sałaty rozbiera się na listki, które się kilkakrotnie płucze, najlepiej pod wodą bieżącą z kranu. Na szklanym talerzu lub płaskiej salaterce, układa się wokoło najprzód ciemniejsze liście sałaty, potem, im bliżej środka, tem jaśniejsze, w sam środek daje się serduszko sałaty przekrojone w krzyż. Dookoła miski układa się na sałacie jaja w całości, polewa wszystko przygotowanym sosem i posypuje siekanym szczypiórkiem.

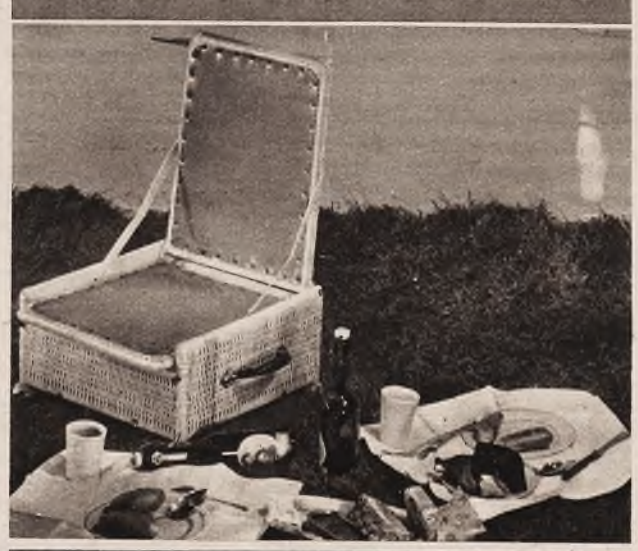
PIECZEŃ CIELĘCA. Doświadczonym paniom domu jest wiadomem, że dobrą pieczeń uzyskać można jedynie z większego kawałka mięsa, który w małych gospodarstwach, nie może być naraz skonstruowany. Cóż więc zrobić z pozostałemi reszkami? Ponieważ odgrzewana cielęcina jest synonimem czegoś najbardziej nudnego, nie podaje się reszek na ciepło, lecz pokrajawszy je cienko, podaje się je do kolacji nieprzyprawione z jakąś sałatką, itp. Poniżej podaję dwa sposoby odgrzewania cielęcej pieczeni; proszę spróbować, na pewno nie będzie nudna, przeciwnie, smaczniejsza od świeżej, a wyzyskanie mięsa bardziej ekonomiczne.

a) Jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki zalewa się 1/5 litra zimnego mleka, zagotowuje, mieszając, na gładką masę, którą się przyprawia solą, łyżeczką soku cytrynowego i odrobiną cukru. Kawałek skórki z cytryny, zagotowuje się w tym beszamelu i odrzuca ją potem. Sos z pod pieczeni dodać można również, lub o ile go brak można dodać troszkę buljonu. Mięso pokrajane wkłada się do sosu, zagotowuje i wydaje z kluseczkami lub kaszką, albo knedelkami bułczanemi.

b) Zasmażkę zalewa się szklanką śmietany, zagotowuje, podprawia troszką soku cytrynowego, roztartą sardelką, łyżką siekanych kaparków. Ten sos jest trochę ostry; dodawszy w miejsce sardelki i kaparów łyżkę siekanego kopru, uzyska się sos znacznie łagodniejszy. Dalsze postępowanie, jak wyżej.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Możność wyjazdu na kilka godzin poza miasto i spożycia posiłku na „zielonej trawce" w aromatycznem powietrzu i w rozświetlonej słońcem przestrzeni, czy w chłodniejszym cieniu, to marzenie wszystkich mieszkańców miast. Troskliwa o swą rodzinę, pani domu, przygotowuje odpowiedni posiłek w domu i umieszcza go w zreprodukowanej obok walizce koszykowej, wyłożonej ceratą, w której znajdą miejsce różne zimne przysmaki, a na wierzchu bielizna stołowa. — Jest to wymarzony rekwizyt dla osób wybierających się z wycieczką za miasto.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.





Święta rzym.-kat.	Tydzień 23 — Czerwiec — Dni 30
Niedziela **4** Franciszka	Chłodnik owocowy z grzankami. Budyń z szparagów. Mostek cielęcy z nadzianką pieczarkową. Rzymski krem z waflami. Kolacja: Zimne mięso cielęce w sosie majonezowym.
Poniedziałek **5** Bonifacego b.	Rosół z kluseczkami. Szparagi z masłem i bułeczką. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Kisiel agrestowy. Kolacja: Szpinak z parówkami.
Wtorek **6** Norberta	Zupa z móżdżków. Kruszka cielęce osmażone w bułeczce. Polędwica wołowa z jarzynkami. Kruchy placek z rabarbarem. Kolacja: Rizotto z groszkiem zielonym.
Środa **7** Roberta	Zupa szparagowa z ryżem. Suflet z szynki. Sznycle naturalne z marchewką i sałatą. Krem waniljowy z biszkoptami. Kolacja: Kasza z kefirem.
Czwartek **8** Boże Ciało	Chłodnik z botwinek. Jaja w sosie ravigotte. Kurczęta z nadzianką koperkową. Kruche babeczki z kremem agrestowym. Kolacja: Zimne mięsa z mizerją.
Piątek **9** Felicjana	Zupa grzybowa na perłówce. Ruskie pierożki przysmażane. Sandacz z jajem. Budyń bananowy. Kolacja: Raki w śmietanie.
Sobota **10** Małgorzaty	Zupa jarzynowa. Naleśniki z grzybkami. Wątróbka cielęca z sałatą i ziemniaczkami. Kompot z surowych owoców. Kolacja: Jaja na szynce.

Dokończenie ze str. 5-ej
nich dziesiątkach lat i właściwie nie mają nic wspólnego z rzemiosłem. Są to przeważnie cechy (gdyż tak się zowią), a właściwiej związki — kluby nowych dzielnic miasta, do których należą dobrze sytuowane sfery mieszczańskie (kupiectwo), mające raczej charakter partyj politycznych — antykomunistycznych. Pomimo takiego założenia, nazywają się „Zunft“ czyli cechem.

Jakże bogato, barwnie, uroczyście wygląda ten pochód święta wiosny, w którym biorą udział wszystkie stany, wszystkie zawody — od najbiedniejszego do najzamożniejszego. Ważność obchodu podkreśla osobisty udział w samym pochodzie prezydenta Konfederacji Szwajcarskiej dra Ettera, który przyjechał na tę uroczystość specjalnie ze stolicy Szwajcarji, z Berna. Szedł on w barwnym pochodzie, gorąco witany oklaskami niezliczonych tłumów Szwajcarów, a także wielu cudzoziemców z całego świata — szedł w otoczeniu generalicji, starszyzny cechowej, rady kantonalnej i miejskiej in corpore i wielu innych dostojników państwowych i samorządowych. Szedł, jak zwykły szary człowiek bez śladu... policji, bez adjutantów, będąc „primus inter pares“. Jakże to typowe dla tego tak bezprzykładnie i ciekawie zadomowionego ustroju demokratycznego wolnej Konfederacji Szwajcarskiej.

Cechy zajmują swoje miejsca w pochodzie, wyznaczone im rok rocznie losem. Wszystkie w swoich przepysznych, drogich, bogatych i barwnych strojach historycznych ze sztandarami, staremi godłami i latarniami oraz własnemi orkiestrami na czele, grającemi prawie bez przerwy tradycyjny „Sechseläutenmarsch“. W pochodzie przewijają się grupki licznych jeźdźców w strojach rokoko i biedermajer, przechodzą uroczyście fanfarzyści w średniowiecznych kostjumach i beretach, słychać warkot wielkich bębnów dziesiątek doboszy, widać kostjumy i stroje wszystkich prawie epok. Z głośnym turkotem przejeżdżają liczne i potężne wozy poszczególnych cechów: kowali, piekarzy, cukierników, krawców, rzeźników i t. p. Specjalną uwagę zwraca legendarna grupa Wilhema Tella, który sam idzie z historycznym łukiem na ramieniu, prowadząc obok siebie syna. Barwną wstęgą przewijają się też delegacje wszystkich 22 kantonów szwajcarskich w swoich przepięknych strojach i kostjumach z poszczególnych kantonów. Doprawdy, że jest taka olbrzymia ilość i różnorodność grup, kostjumów, iż wszystko przewija się jak w kalejdoskopie, a oko i uwaga nie mogą wszystkiego ogarnąć.

Tymczasem pochód zbliża się do placu Bellevue, gdzie już od wczoraj czeka na swój koniec opisywany „Böögg“. Poszczególne grupy pochodu otaczają szczelnie cały plac, za niemi olbrzymie tłumy rozradowanych widzów. Zbliża się godzina szósta. W tej chwili stos smolnego łuczywa bucha jasnym płomieniem. Wkrótce płomienie dosięgają białego bałwana, wypchanego rakietami i petardami. Słychać ich trzask i kanonadę. Grupki jeźdźców wjeżdżają na środek placu, objeżdżają galopem płonący stos.

W tej chwili rozpoczynają bić w dzwony we wszystkich świątyniach Zurychu i tak bić odtąd będą o godz. 6-tej, aż do późnej jesieni, kiedy władzę obejmie z powrotem sroga zima.

Koniec uroczystości! Tłumy, zadowolone, rozchodzą się.

* * *

A gdy się całkiem ściemni i nastanie wieczór — wówczas zapełniają się wszystkie siedziby i domy bogatych cechów zurychskich, a członkowie ich zasiądą do uroczystej wieczerzy, będącej zakończeniem pięknego, tradycyjnego święta wiosny.

W ten uroczysty wieczór z ciężkich skrzyń i potężnych szaf cechowych wydobywa się starą porcelanę, starodawne nakrycia, puhary średniowieczne i stawia na stołach. Płynie strumieniami wino, wznosi się liczne toasty, słucha się licznych i dowcipnych mów, a nawet bardzo ciętych. A później, po skończonej wieczerzy, następuje wzajemne odwiedzanie się cechów w ich patrycjuszowskich, obszernych siedzibach. Do późnej nocy dzielnica starego Zurychu rozbrzmiewa skoczną melodją „Sechseläutenmarsch‘u“, granego przez idące na czele poszczególnych cechów własne orkiestry w świetle blasków pochodni i lampionów — do późnej nocy słychać śmiechy, nawoływania, śpiewy na ulicach spokojnego zresztą miasta — ale dzisiaj wolno wszystko — jest bowiem doroczne święto obywateli zurychskich.

„I ja tam byłem — miód i smakowite wino szwajcarskie w cechu właścicieli winnic piłem“...

Zygmunt Borzęcki.
(Zurych).

GIEŁDZIARZE.



— Jeśli akcje podniosą się jeszcze o jeden punkt, będę mógł posłać buty do podzelowania... („Esquire“).

Dokończenie ze str. 8-ej.
ich niszczą jarzyny, jak np. nieduży motyl bielinek rzepnik. Nieco od swych krewnych różni się niestrzęp głogowiec zarówno wyglądem jak i zwyczajami. Skrzydła jego są białe i czarno pożyłkowane. Samiczka składa drobne jajeczka w większych lub mniejszych skupieniach przeważnie na liściach śliw, grusz i jabłoni, a stosunkowo rzadko tylko na głogu, chociaż nazwę swą motyl zawdzięcza właśnie tej roślinie.

W jesieni gąsienice snują jedwabiste nici, którymi łączą liście i przymocowują je do gałązki, na której one rosną. W ten sposób zakładają niejako gniazdko, w której gromadzie przepędzają zimę. Na wiosnę gąsienice opuszczają oprzęd i objadają nowe, młodziutkie pędy. Grzbiet ciała tych gąsienic przecinają podłużne czarne linie, po bokach zaś czerwone.

Na brzegach lasów i miedzach można dostrzec piękną rusałkę pawika, na leśnych drogach i w ogrodach rusałkę żałobnika, dużego, prawie czarnego motyla, którego obramienie skrzydeł w tym wczesnem pokoleniu wiosennem jest białe w przeciwstawieniu do żółtawego u pokolenia letniego.

W ogrodach, lasach i zaroślach unosi się rusałka admirał, piękny motyl, występujący w dwóch, a nawet trzech pokoleniach, zjawiający się od końca kwietnia aż do zimy.

Nieco później, już od początku maja aż do końca września po ogrodach, łąkach i polanach leśnych, tak na nizinach jak i w górach buja pięknej, modrej barwy modraszek ikar. Na kwiecistych i słonecznych zboczach roi się od szlaczkoni siarecznikôw, żółtych motyli z ciemniejszym szlaczkiem na górnych skrzydłach, których gąsienice żyją na koniczynie oraz różnych gatunkach wyki, uganiają najpospolitsze z kraśników łomignatki oraz kraśniki pięćplamki.

Dorosłe motyle pędzą tryb życia zupełnie nieszkodliwy dla człowieka, a nawet oddaje wielkie usługi przedstawicielom świata roślinnego. Motyle bowiem zwabione przez kwiaty ich zapachem lub barwą zapuszczają swe długie trąbki do koron kwiatowych i spijając ulubioną słodycz, pośredniczą w przenoszeniu pyłku z jednego kwiatu na drugi przyczyniając się do ich zapylania, a w związku z tem do zawiązywania owoców i wytwarzania nasion.

Niektóre z motyli, jak np. jedwabnik, oddają nieocenione usługi; gąsienice jego snują przed przepoczwarczeniem się oprzęd i dostarczają jedwabistych nici, z których powstaje jedwab. Wszystkie jednak motyle w stadium gąsienicy jako bardzo żarłoczne mogą stać się nawet szkodnikami, zwłaszcza wtenczas, gdy pokarm ich stanowią krzewy, drzewa i rośliny uprawne.

Nie mniej jednak motyle będące pierwszymi zwiastunami wiosny, zwłaszcza te, które nie przynoszą człowiekowi szkody, witamy z radością. *Z. M.*

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

W ostatnich czasach odżyła w naszej literaturze poetycko-fraszkowej moda tak lubianych w XVII i XVIII wieku „Portretów", t. j. krótkich charakterystyk, zwykle oczywiście złośliwych, różnych wybitnych ludzi i autorów. Napisanie krótkiego wiersza charakteryzującego twórczość autora, jest nieraz rzeczą arcytrudną: próbowali swych sił w tej dziedzinie wielcy nawet parnasiści, a należy pamiętać, że znany literat i publicysta przedwojennej Warszawy, Andrzej Niemojewski, opublikował krótko przed wojną zbiór nagrobków dla wielkich autorów ówczesnych i znanych postaci, smagając ich wszystkich niezwykle złośliwą satyrą. Znalazł się między nimi Sienkiewicz i Stanisław Tarnowski, Wiktor Gomulicki i Łuszczewska i wielu in. Podobne próby charakterystyki, tylko postawione na znacznie wyższym diapazonie poetycznym, znajdziemy w zbiorze wierszy J. E. Skiwskiego „Człowiek wśród potworów".



Witold Zechenter.

Na nutę wesołą, satyryczną daje nam lubiany poeta i felietonista Witold Zechenter małą, ale jarą książkę p. t. „Guzy dla Muzy" — wydaną przez „Książnicę Atlas". Zechenter jako rasowy krytyk „przejechał się" po wszystkich wielkich i mniejszych sławach oraz oczywiście po PAL-u.

„Guzy dla Muzy" dają przedewszystkiem właśnie owe portrety, wśród których kilka jest wręcz kapitalnych np. o Marji Ukniewskiej: „Nóżką fik, Napierśnik, wstążka, I już w mig, Jest książka!" Albo o Jerzym Szaniawskim „Spokój, kręgi na wodzie i mgła, Dramat w krwi, dalekie blaski, — Cicho sza! (Niawski)". Również niezwykle pomysłowe i trafiające w sedno rzeczy są recenzje z książek, ujęte w krótkie fraszki. Parodje „Jak piszą" czyta się bardzo mile. Fraszki Zechentera są chmurą strzał wystrzelonych przez bardzo wprawnego łucznika i lecących z bzykiem w przestrzeń, trafiających jeżeli nie zawsze w samo sedno, to w każdym razie niedaleko niego.

Jak już mówimy o łuku, a przez to samo o sportach, to nasuwa się myśl, prosta i logiczna, że właśnie tego rodzaju książka powinna towarzyszyć letnikowi, który zapominając o normalnem życiu i normalnych kłopotach, chce się pośmiać, wypocząć, a przytem nie zardzewieć umysłowo. — Czytając Zechentera osiągnie te trzy cele i będzie recytował wierszyki później, w towarzystwie, gdy wróci w codzienne ramy swego życia. **JGM.**

IDZIEMY DO TEATRU...

...w Warszawie:

— do Teatru Polskiego, gdzie jak już na tem miejscu notowaliśmy, graną jest nowa komedja Stefana Krzywoszewskiego p. t.: „Koleżanki". Boy Żeleński w sprawozdaniu z przedstawienia stwierdza, że sztuka Krzywoszewskiego uderza swoim ambitnym zamiarem. „Koleżanki — trzy młode dziewczyny z różnych warstw społecznych oraz ich odmienne losy; ale losy te splatają się z losami mężczyzn, którzy się koło kobiet kręcą; że zaś tych mężczyzn jest tu sporo, i że również wyrażają się w nich różnice sfer i pokoleń, komedja ta staje się czemś w rodzaju przekroju dzisiejszego społeczeństwa, — takiego, jakiem je widzi autor. Warstwy społeczeństwa, mimo, iż fraternizują z sobą swobodnie, odcinają się tu dość ostro swoim charakterem".



Scena z sztuki Miguela de Unamuno p. t. „Poprostu człowiek", granej przez Teatr Miejski w Wilnie. Na zdjęciu: A. Łodziński (Don Alberto Robles) i Z. Sawan (Aleksander Gomes).

Zdaniem Boy'a Żeleńskiego „sztuka grana była dobrze i składnie, a reżyser p. Ziembiński, miał niełada zadanie, tyle tu występuje osób, tyle krzyku, ruchu i zamętu, który trzeba było ująć w ład. — Wśród wykonawców prostotą i szczerością ujmowała Lila p. Malkiewiczówny, p. Andryczówna przesadnie perwersyjnemi pozami mogła przywieść do szaleństwa nie jednego, ale tuzin prezesów; p. Borowska dowcipnie scharakteryzowała małego wampa, porywając temperamentem. Dodajmy cedzącą jadowite słówka p. Parysiewiczównę, oraz milutko urżniętą damę z dancingu p. Rolandową... Z mężczyzn zaskoczył nas p. Samborski świetną, a całkiem u niego nową charakterystyką jeszcze jednego drapieżnego prezesa; p. Pichelski w roli Kubika, ujmujący był serdeczną i w miarę rubaszną prostotą; obok nich pp. Brydziński i Wilamowski, dystyngowani przedstawiciele ginącego świata; p. Kurnakowicz, który dostał specjalne brawo za nieprawdopodobne wyczyny choreograficzne, pp. Kondrat, Małkowski, Socha i jeszcze szereg nazwisk i udatnych ról".

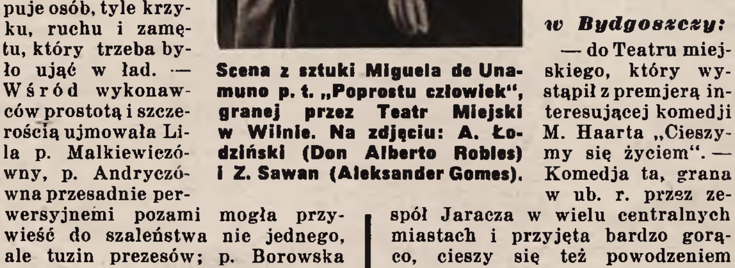
...w Poznaniu:

— Na przedstawienia poznańskiego Teatru Peryferyjnego, który gra krotochwilę młodego pisarza poznańskiego J. T. Dybowskiego pod tytułem „Von Schwindell w polskim dworze". Komedję tę gra Teatr Peryferyjny w Poznaniu i w wielu miejscowościach pogranicza zachodniego. Placówka ta, kierowana umiejętnie przez Bolesława Rosińskiego, rozwija się z dużym pożytkiem społecznym.

w Bydgoszczy:

— do Teatru miejskiego, który wystąpił z premjerą interesującej komedji M. Haarta „Cieszymy się życiem". — Komedja ta, grana w ub. r. przez zespół Jaracza w wielu centralnych miastach i przyjęta bardzo gorąco, cieszy się też powodzeniem i w Bydgoszczy, gdzie znalazła dobrych odtwórców z M. Tatrzańskim na czele. Sztukę przygotował reżyserско S. Dębicz.

Teatr bydgoski pod dyr. Rodziewicza rozwija się pomyślnie.



W Krakowie otwarto w Pałacu Sztuk Pięknych wystawę sztuki estońskiej. Powyżej reprodukujemy obraz Jana Püttseppa pt. „Żniwa".

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W niedzielę dn. 4 bm. o g. 14.45 usłyszymy pierwszą audycję z cyklu „Czytamy Mickiewicza". W ramach tej audycji recytowane będą najprzystępniejsze utwory wielkiego poety, a więc ballady, „Pan Tadeusz" i t. d. — Tego samego dnia o godz. 19.00 nadane zostanie pierwsze słuchowisko z cyklu „Klub Pickwicka". Arcydzieło Dickensa nadane zostanie w 10 fragmentach, które opracowane zostały przez A. Bohdziewicza. W roli głównej wystąpi Stan. Stanisławski. — O godz. 19.30 usłyszymy transmisję festivalu śpiewaczego, odbywającego się na Wawelu. — O godz. 21.30 transmisję międzypaństwowych meczów piłkarskich Polska — Szwajcarja i Polska — Bułgarja.



Marjan Niżyński.

W poniedziałek dn. 5 bm. o godz. 21.00 Bolesław Woytowicz wykona szereg utworów fortepianowych Debussy'ego.

We wtorek dn. 6 bm. o godz. 21.00 nadaną zostanie pierwsza audycja z nowego cyklu muzycznego p. t. „Sławne koncerty". Poświęcona będzie twórczości H. J. Lipińskiego.

We środę dn. 7 bm. o godz. 18.00 pierwszy koncert również nowego cyklu radjowego p. t. „Sławne symfonje". Przyniesie on Haydna „Symfonję wojskową" G-Dur oraz Mozarta „Symfonję g-moll". O godz. 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje drugą część słuchowiska „Klub Pickwicka".

We czwartek dn. 8 bm. o g. 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko J. Goetla p. t. „Czwarty sejm króla Stefana Batorego". Słuchowisko to wykrojone zostało z dramatu o Samuelu Zborowskim i opracowane przez samego autora. — O godz. 21.40 usłyszymy z Krakowa słuchowisko p. t. „Kawaler księżycowy". Będą to fragmenty nowego dzieła poetycko-scenicznego Marjana Niżyńskiego, dające nową wersję legendy o Twardowskim, tak mocno wrośniętej w baśniowy klimat Krakowa. Słuchowisko to wykona zespół krakowskiej Konfraternji Teatralnej.

W piątek dn. 9 bm. o godz. 19.00 usłyszymy szkic literacki wybitnego znawcy poezji mickiewiczowskiej L. Podhorskiego Okołowa, poświęcony „Panu Tadeuszowi". — O godz. 21.00 nadaną zostanie z płyt opera komiczna Rossiniego „Cyrulik sewilski".

W sobotę dn. 10 bm. o godz. 18.55 nadany zostanie pierwszy odcinek nowej powieści mówionej p. t. „Charaktery", opracowanej przez H. Boguszewską i J. Kornackiego. Każdy odcinek powieści będzie zamkniętą dla siebie całością, a poszczególne obrazki psychologiczne, powiązane będą wspólną myślą przewodnią.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręcza nia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.